Nr. 37. Lwów, Niedziela dnia 12. Maja 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

JAKIM SPOSOBEM UKOŃCZYĆ KOPIEC PAMIĄTKOWY TRZECHSETLETNIEJ ROCZNICY UNII LUBELSKIEJ we Lwowie?

Tysiąckrotnie powtarzało się to zapytanie w przeróżnych odmianach w dniu 3 maja b. r., gdy na górze Zamkowej roiły się tłumy pracowników, którzy zgromadzili się przy kopcu Unii lubelskiej z rozmaitych okolic kraju, dla uczczenia drugiej równie podniosłej pamiątki z dziejów naszego narodu.

Nie jeden odezwał się głos powątpiewania, czy w ogóle kopiec będzie kiedy skończony? Nie jednemu z uczęstników tegorocznej uroczystości 3go maja mimowoli cisnęło się na myśl pytanie, czy może już wkrótce nie zajdą jakie zmiany polityczne, które gwałtowny koniec położą dalszym robotom przy tym pomniku narodowym? W naszem położeniu coś podobnego wcale nie należy do rzeczy niemożliwych...

Dziewięć lat dobiega, gdy rozpoczęły się roboty przy kopcu Unii lubelskiej; jest tam już dużo zsypanej ziemi z pobojowisk polskich i z mogił, z miejsc sławy i ofiar naszego narodu; ze wszystkich dzielnic ojczyzny naszej dążyli pielgrzymi na górę Zamkową we Lwowie niosąc w zanadrzu grudkę ziemi ze stron rodzinnych, ażeby ją dorzucić do tego pomnika, który ma być widomym symbolem niepodzielnej łączności narodu polskiego. A jednak — jakże jeszcze daleko, niestety, do ukończenia kopca naszego!

Czcigodny inicyator sypania kopca na pamiątkę najpodnioślejszego zdarzenia z historyi Polski, dr. Franciszek Smolka, ogłosił w tych dniach rachunek dotychczasowych kosztów budowy kopca, w gotówce poniesionych. Z rachunku tego okazuje się, że sam dr. Smolka *z własnych funduszów* wyłożył już na ten cel przeszło 4 000 złr. w. a. A jednak, im wyżej kopiec się wznosi, tem większe muszą być koszta, gdyż potrzeba umiejętnie dokonywanych podmurowań kamiennych, które w takiej wysokości muszą być nader kosztowne.

Nie stać nas, co prawda, na wzniesienie pomnika, godnego wielkości aktu Unii lubelskiej, z marmurów albo ze spiżu, wznosimy przeto słowiańskim obyczajem pomnik ziemny. Lecz czyż nie byłoby to hańbą dla naszego pokolenia, gdybyśmy doprowadzonego już tak daleko dzieła ukończyć nie zdołali! Czy dzieło, które ma uwiecznić pamięć najszczytniejszego aktu politycznego, jakiego oprócz Polski, żaden inny naród cywilizowanego świata przed trzema wiekami dokonać nie był zdolny — aktu dobrowolnego połączenia trzech samodzielnych szczepów w jednolity ustrój państwowy w imię zasady: „Wolność, równość i braterstwo" miałoby nieukończone sterczyć ku niebu, ażeby świadczyć przyszłym pokoleniom o naszej niezdarności! Czyż dzieło, które miało być pomnikiem sławy przodków naszych, ma pozostać pomnikiem hańby teraźniejszego pokolenia synów Polski?

Pragniemy niezawodnie, ażeby pomnik Unii lubelskiej ukończony został jak najprędzej. Ażeby wznosząc się wysoko po nad stolicą Halickiej Rusi świadczył na zawsze, jak żywą jest w sercach naszych cześć dla przekazanych nam wielką przeszłością ideałów, że zaprzysiężone przez ojców przed trzema wiekami fundamentalne zasady dziejów narodu polskiego do dziś nieskażone przechowujemy w duszy i że chcemy, ażeby synowie i wnuki nasze równą cześć dla nich czuli. Czyż więc nie starczy nas na to, ażebyśmy potrafili z energią uczynić zadość temu serdecznemu pragnieniu? *Czy dr. Smolka sam ma dokonać tego, co jest obowiązkiem całego narodu?*

Jeżeli zaś kopiec ma być rychło skończony, to do tego potrzeba przedewszystkiem *pieniędzy*. Teraz kolej na tych, dla kogo jest niemożliwem z jakichkolwiekbądź powodów własnoręcznie ziemię wozić na kopiec, więc oni niechaj wezmą udział w wykończeniu tego narodowego dzieła składkami pieniężnemi.

Reaktywować potrzeba dawny komitet opiekuńczy kopca Unii lubelskiej, albo też zawiązać nowy komitet, złożony z wybitniejszych patryotów, z techników i kilku ludzi przedsiębierczych i sprężystych, którzyby sobie postanowili poruszyć wszelkie sprężyny, ażeby w krótkim czasie budowę kopca Unii lubelskiej doprowadzić do końca. Komitet ten powinien zająć się systematycznie zbieraniem składek na wykończenie pomnika, urządzaniem festynów, wycieczek, wykładów publicznych, wystaw artystycznych, przedstawień teatralnych, wydawnictw w celu zapomożenia funduszu budowy kopca; powinien on udać się do reprezentacyi kraju, powiatów i gmin, ażeby je nakłonić do urzędowego wzięcia udziału w narodowem dziele.

Myśl, którą tu poruszamy nie jest nową. Można o niej wyrazić się, że wisi ona w powietrzu niejako; w prywatnych rozmowach tysiące razy była wspominaną, a nawet i w pismach publicznych niejednokrotnie potrącano o nią — lecz dotąd nie stała się ona ciałem, nie weszła w praktyczne wykonanie.

Czyż to tak trudno zebrać u nas gromadkę ludzi dobrej woli, którzyby podjęli się tego trudu?

Sądzimy, że nie.

I dlatego też podnosimy niniejszem jeszcze raz kwestyą utworzenia komitetu opiekuńczego dla ukończenia kopca Unii lubelskiej, ufni, że głos ten nie przeminie bez echa.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

I.

Na pochyłości wzgórza za rzeką widać miasteczko. Okna błyszczą złotem od zachodzącego słońca. Po moście dudni żółty wózek pocztowy wlekący się powoli od stacyi kolei. Stare szkapy z wysiłkiem ciągną go pod górę, wjechały między szeregi domów i zatrzymały się w rynku przed żółtym domem z ganeczkiem. Na domie orzeł dwugłowy, koło drzwi skrzynka na listy. To dom pocztowy.

Koło niego gromadka służących, paru

chłopaków z warstatu wesołych i wyśmiewnych, jakiś posłaniec ze wsi w czapce z galonem a boso, stoi trzymając koszyk i konia. Wszystko to czeka na gazety i listy, które pan pocztmistrz rozpakowuje właśnie. Przez otwarte okno widać jego łysą głowę, uchylającą się to w jedną, to w drugą stronę jak wahadło.

Na ganeczku kilku obywateli surdutowych, inteligencya miasteczka siedzi i czeka także na gazeciarskie nowinki, prowadząc z ferworem polityczną gawędę. Najrezolutniejszy burmistrz z nosem czerwonym, powiedziałbym fioletowym, pod którym sterczą wąsy, jakby z pszenicznej słomy nierówno wystrzyżone. Cybulaste, wypukłe oczy żywo poruszają się w cieniu dużego słomianego kapelusza, a krótkiemi tłustemi rękami żywo gestykuluje, stukając czasem o ziemię laską ze srebrną gałką, dla nadania słowom swoim siły i akcentu. Bo dysputowanie było słabą, a raczej najsilniejszą stroną burmistrza. „Nasz burmistrz to gęba nie lada“ — powtarzali z respektem mieszczanie — a dowcipny aptekarz utrzymywał, że żołądek burmistrza wszystkie alkohole przerabiał na słowa, bo im więcej pił, tem więcej mówił. Za to nie wiele robił i urzędowe czynności jego nie zniosłyby surowej krytyki; ale podobno koło własnych interesów umiał nie źle chodzić i gdyby nie to, że Josel Probstein miał swój handel win tuż naprzeciw okien jego, byłby mógł już jakiś mająteczek sobie uciułać. Tymczasem oprócz małego domu, starej żony, córki i długów, nie posiadał wiele więcej. Mimo to cierpiano go na urzędzie, bo umiał zakrzyczeć, zahuczeć sarkania, rubaszną serdecznością ujmował sobie niechętnych, a reszty dokonywały libacye u Josla. I teraz właśnie z tamtąd przyciągnęło szanowne gronko na pocztę, kontynując rozpoczętą rozmowę, a burmistrz laską kreślił na podłodze sytuacyą polityki europejskiej i udowadniał konieczność wojny.

Nim jeszcze ukończył swoje argumentacye i nim pocztmistrz miał czas ułatwić się z ekspedycyą, zbliżył się ku poczcie jakiś podeszły już w latach człowiek w oliwkowym surducie, popielatym kapeluszu i zatrzymał się opodal ganeczka między czekającymi. Twarz jego blada, starannie wygolona, miała wyraz dobrodusznny i pokorny, oczy siwe, nieco wilgotne, łagodnie, ale nieśmiało poglądały na ludzi, trzymał się trochę pochyło, jakby z przyzwyczajenia do kłaniania się i uległości. Założył jedną rękę pod pachę, drugą podparł brodę i zamyślił się, niezważając wcale na gwarną rozmowę, która obok niego toczyła się na ganeczku.

Wyrwał go z tego zamyślenia głos burmistrza, który po ukończeniu swoich dowodzeń politycznych, spostrzegłszy stojącego na ulicy pod gankiem, zawołał swoim tubalnym głosem:

— Panie Leszczyc, prosimy bliżej o! jest miejsce.

To mówiąc usunął się z brzegu ławki i protekcyjnie wskazał ręką.

Jegomość w oliwkowym surducie ukłonił się, blada twarz jego rozjaśniła się uśmiechem pokornej wdzięczności, wszedł nieśmiało, na palcach, na ganeczek i usiadł na brzegu ławki.

— Pan także po gazetki? — spytał burmistrz..

— Właściwie przyszedłem głównie po list. Spodziewam się listu od syna.

— Syn pański podobno w Wiedniu? — odezwał się aptekarz.

— Tak, w Wiedniu na politechnice — odrzekł Leszczyc, potakując głową w sposób taki, który zarazem ukłon oznaczał. Dziękował za to, że pan aptekarz był łaskaw zrobić mu to zapytanie.

— To on tam już kilka lat siedzi — powiedział burmistrz.

— Cztery lata. Właśnie teraz ukończył, i stara się o posadę. Chciałby tu u nas w kraju dostać jakie miejsce.

Aptekarz ruszył pogardliwie ramionami i machnął ręką.

— U nas! — rzekł — Albożtu u nas jest pole dla ludzi? W Niemczech, tam umią ocenić człowieka i zużytkować jego zdolności, ale u nas, ph! Myśmy zawsze mieli nabożeństwo do tego, co nie nasze. Obcy język, sprowadzony towar, zagraniczny nauczyciel, zawsze mają u nas pierwszeństwo, nawet restaurator, Francuz, albo Niemiec kiełbaśnik, lepiej przypada nam do gustu. Dobrze powiedział poeta: małpą i papugą byliśmy zawsze. Moi panowie — mówił dalej zwracając się do wszystkich, jakby z katedry lub mownicy przemawiał — widziałem Polaków po zagranicznych fabrykach, których wysoko cenili cudzoziemcy, widziałem młodych techników w Kordylierach dokonywujących olbrzymich robót, przy przekopie Alp, kolei przez Semering, nawet przy kanale sueskim byli także Polacy czynni, a gdy u nas szlachcicowi zechce się postawić gorzelnię, to sprowadza werkführera ze Szląska. To macie panowie nasze stosunki. — Plunął i usiadł.

Mieszczanie słuchali tej perory z otwartemi ustami, w nabożnem milczeniu; żaden nie śmiał odezwać się z przeciwnem zdaniem, nawet burmistrz nie spieszył się coś odpowiedzieć, bo się bał nie tyle rozumu aptekarza, którym imponował wszystkim, ale jego ostrego języka i gwałtownego charakteru. Aptekarz nie znosił opozycyi, nie lubił, kiedy kto przeczył temu, co on mówił. Wybuchał wtedy gwałtownie i nie dobierał wyrazów, aby zmasakrować przeciwnika i zmusić do milczenia. Był despotyczny w zdaniu. Wynikało to po części z tego, że wykształceniem górował ogromnie nad inteligencyą miasteczka, a po części z jego dziwacznego, drażliwego usposobienia, które wyrobiło się pod wpływem dziwnych kolei, jakie w życiu przechodził.

W młodości poświęcał się botanice. Jeszcze jako uczeń gimnazyalny wspinał się po skałach tatrzańskich, zapuszczał się w lasy, wędrował w czasie wakacyi po różnych stronach Galicyi i kiedy przyszedł na uniwersytet, znał już florę krajową praktycznie daleko lepiej, niż niejeden profesor botaniki. Studya uniwersyteckie dały jego wiadomościom naukową podstawę i rozszerzyły zakres prac jego w tym kierunku. Zajmował się fizyologią roślin, uczył się pilnie chemii, geografii, fizyki i innych umiejętności pomocniczych w zawodzie, do którego się sposobił. Celem jego była katedra botaniki na uniwersytecie i pilnie pracował, aby z korzyścią dla kraju mógł zająć to stanowisko. Czas wolny od studyów uniwersyteckich i mały kapitalik, zostawiony mu przez stryja, obracał na podróże w celach naukowych; w ciągu kilku lat zwiedził stepy ukraińskie, wybrzeża morza Czarnego i Adryatyku, Kaukaz i Alpy, badając roślinność tych miejsc. Następnie podał się do egzaminów, zrobił je z odznaczeniem i otrzymał dyplom doktora wydziału filozoficznego a niezadługo docenturę botaniki, co mu torowało drogę do objęcia katedry profesorskiej. Nadzieja była wielka, że wkrótce dopnie celu swych marzeń, bo profesor botaniki był stary, wysłużony i spodziewano się, że poda się do emerytury. Ale starość ma swoje nawyknienia, przyzwyczajenia, z któremi niechętnie się rozstaje. Profesor jakkolwiek już niedołężny i z nadwątlonem zdrowiem nie mógł zdecydować się na porzucenie katedry i z roku na rok odwlekał. A tymczasem docent czekał i czekając wydawał resztę pieniędzy na podróże dla skompletowania wiadomości swoich. Zwiedził zagraniczne ogrody botaniczne, zrobił z jakiemś towarzystwem fizyograficznem wycieczkę na południowe brzegi Afryki, a nawet jednego roku puścił się za Atlantyk i przywiózł z Kordylierów bogate zbiory mchów i porostów. Tak się włożył do tych podróży, że stały się one już prawie nałogiem jego. Na zimę tylko wracał do kraju, porządkował zbiory swoje, układał z notat obszerne odczyty do przyszłych wykładów, a skoro tylko śniegi stajały, uczuwał zaraz niepokój; jak wędrowne ptactwo, coś rwało go w świat: ściągał więc podróżny kufer ze strychu, pakował w niego trochę bielizny, puszkę botaniczną, mikroskop i puszczał się na wędrówkę.

Na jednej takiej wędrówce doszła go wiadomość o śmierci profesora; powrócił co tchu do kraju i podał się o profesurę. Miał kilku współzawodników do tej posady, ale nie uważał ich za niebezpiecznych, bo wiedział, że żaden z nich nie miał tych kwalifikacyi co on, spokojnie więc wyczekiwał rezultatu i nie robił żadnych starań. To też nie małe było jego zdziwienie i oburzenie, skoro się dowiedział, że jeden z najmniej może zdolnych, a który miał protekcyą wysoko położonych osób, dostał tę posadę. Można sobie wyobrazić, co się działo w duszy jego, kiedy cel tyloletniej pracy, wszelkie marzenia na jeden raz upadły. Boleść, gorycz, zniechęcenie opanowały go; nie pokazał wprawdzie tego po sobie, bo nie lubiał się zwierzać, skarżyć, ale za to tem silniej nurtowała boleść w jego duszy, i przyprawiła o ciężką chorobę. Zapadł na zapalenie mózgu. Wzięto go do szpitala, bo nie miał nikogo z bliskich koło siebie, coby go pielęgnował w chorobie, a zasoby jego wyczerpały się już były zupełnie. Po miesiącu wyszedł z głową wyłysiałą, twarzą żółtą i zwiędłą, bez sił, a do tego zdziecinniały trochę na umyśle. Hartowny duch jego rozstroił się, stał się niesłychanie wrażliwy na każdą dotkliwość, drażliwy aż do gwałtowności. Do tego wszystkiego przyłączyła się jeszcze choroba oczów, która groziła utratą wzroku w razie, gdyby nie szanował się i czytywał wiele, szczególniej przy świetle. Doktorzy zalecili mu czas jakiś wypocząć od wszelkich zajęć i wyjechać gdzieś na świeże powietrze. Wyjechał więc do siostry, która była za aptekarzem w miasteczku, w którem właśnie powieść nasza się rozpoczyna. Miasteczko położone w górzystej okolicy, między lasami świerkowemi, nadawało się bardzo dla rekonwalescenta; przychodził powoli do sił i równowagi umysłu; zaczął tęsknić za pracą, przyzwyczajenie pociągnęło go na wę-

drówkę, ale nie było o czem wyjechać. Do tego jeszcze mąż jego siostry, który chorował na piersi, zapadł teraz mocno na zdrowiu, żona zastąpić go nie mogła w aptece, trzymanie prowizora byłoby się nieopłaciło, więc nasz doktor filozofii przez wzgląd na siostrę wziął się do kręcenia pigułek i tarcia proszków. Z początku traktował to zajęcie jako zabawkę dla zabicia czasu, potem robiąc studya potrzebne do tego fachu, rozmiłował się na dobre w przedmiocie, traktując go z naukowego stanowiska. Znajomość chemii, mineralogji, botaniki była mu tu bardzo pomocną. Po całych dniach siedział nad retortami, robił doświadczenia i ta praca zajmowała go tak, że mógł nie myśleć o przykrości swego położenia. Niezadługo aptekarz umarł, a że apteka stanowiła jedyne utrzymanie wdowy, więc nasz niedoszły profesor uniwersytetu przez wzgląd na siostrę zdecydował się zrobić egzamin na farmaceutę. Co go kosztować mogło takie abdykowanie z szerokich planów, jakie sobie zakreślił w młodości, tego nie wiemy, bo, jak powiedziałem, nie zwykł się był spowiadać przed nikim. Nie można także było poznać tego po jego minie, bo był nawet wesoły i z humorem zniósł tę dobrowolną degradacyę, lubo humor jego miał trochę nienaturalności, jak pijanego desperata. Ale z czasem oswoił się z tem położeniem, bo i cóż miał robić? mógł wprawdzie starać się o profesurę gimnazyalną; ale do tego trzeba było jeszcze siadać do nowych egzaminów, douczać się różnych przedmiotów, na co mu osłabiony wzrok nie pozwalał; — a w końcu profesura nie dawałaby mu wcale lepszego utrzymania nad to, jakie znalazł obecnie.

W kilka lat potem i siostra jego przeniosła się za mężem na drugą stronę rzeki, na cmentarz, a że umarła bezdzietną, więc on został jedynym jej spadkobiercą i właścicielem apteki. Teraz mógł był już dowolnie rozporządzać swoją osobą, sprzedać aptekę, i puścić się w świat na nowe wędrówki, przygody, albo starać się gdzieś przy jakim ogrodzie botanicznym o miejsce dyrektora, ale nie zrobił tego. Zasiedział się na miejscu i przywyknął. Tak ptak, co po szerokich bujał przestworach, zamknięty w klatkę szarpie się i rzuca, tłukąc piersiami i skrzydłami o żelazne pręty, a po latach kilku lub kilkunastu tak oswoi się ze swojem więzieniem, że wypuszczony z klatki wraca napowrót do niej. Aptekarz przywyknął już do swojej klatki. Cały dzień prawie można go było widzieć w tej klatce, jak siedział z rudą brodą, w zielonych okularach nad stosami recept lub retortą. Czasami jeszcze odzywały się w nim dawne popędy do wędrówek; wtedy brał kij w rękę, puszkę na plecy i szedł na parę tygodni w góry i lasy, zkąd wracał orzeźwiony na umyśle i zdrowszy do swojej klatki i smażył znowu leki, balsamy cudowne na rany, eliksyry na różne dolegliwości. (Jednemu tylko pocztmistrzowi nie mógł nic wymyśleć na porost włosów). Te wynalazki więcej może jeszcze, niż rozległe wiadomości, jakie posiadał, jednały mu respekt i poważanie w miasteczku i okolicy. Był wyrocznią i powagą w rzeczach naukowych, w dysputach, i nikt nie ośmielił się w obec niego występować ze zdaniem przeciwnem, choćby nawet nie był przekonany o słuszności poglądów jego. Był pessymistą w skutek gorzkich doświadczeń i zawodów, jakich doznał, to też zapatrywania jego na świat, na stosunki, grzeszyły przesadą, ale niech Bóg broni, żeby kto poważył się zbijać jego mniemanie; zżymał się wtedy i wpadał w passyą, w której nie dobierał słów na pokonanie przeciwnika.

To i teraz nikt nie ośmielił się wystąpić, gdy z lekceważeniem wyrażał się o naszych stosunkach ekonomicznych; tylko Leszczyc, stając w obronie syna, pozwolił sobie zrobić uwagę, że jakkolwiek u nas dzieje się rzeczywiście tak, jak aptekarz utrzymuje, to jednak właśnie dla tego potrzeba, aby ktoś miał odwagę zaradzić złemu, przełamać pierwsze lody i rozpocząć w kraju pracę dla kraju, w celu podniesienia przemysłu.

— I pan wysyłasz swego syna na tę straconą pikietę? — spytał aptekarz drwiąco.

— On się sam wysyła. Pisał mi, że pomimo korzystnych miejsc, jakie mu ofiarowano za granicą, zdecydował się wrócić do kraju i tutaj szukać dla siebie zajęcia.

— Ta, skoro ma pieniądze na wyrzucenie, niech robi ekspensa. Jakąż obrał specyalność?

— Poświęcił się chemii.

— No, to będzie mógł z czasem zostać aptekarzem — rzekł i rozśmiał się nieprzyjemnie.

Leszczyc zmarszczył czoło i pochmurniał. Przykro dotknęły ojcowskie serce słowa aptekarza; zrobiły one na nim wrażenie, jakby słyszał wronę krakającą; nie był zabobonny, nie spodziewał się nieszczęścia, a jednak to krakanie niepokoiło go. Chciał coś odpowiedzieć aptekarzowi, gdy na szczęście pocztmistrz uchylił okienko i rozpoczął wydawanie listów i gazety.

Leszczyc żywo poszedł do okienka, do którego nie bez trudu dostał się z powodu natłoku i ukłoniwszy się pocztmistrzowi, spytał czy do niego nie ma listu.

— Nie ma.

— Niech pan poczmistrz będzie łaskaw jeszcze raz zobaczyć, bo w tych dniach miał nadejść list od syna z Wiednia.

Pocztmistrz nie bardzo chętnie i trochę nadąsany zabrał się do przeglądania listów; stary Leszczyc także z odległości wytrzeszczał oczy, nie dowierzając wzrokowi pocztmistrza i baczne spojrzenie rzucał na każdy list.

— Ależ nie ma nic — rzekł pocztmistrz i rzucił paczkę na stół.

Leszczyc nie mógł już wątpić, że listu nie ma, odsunął się od okienka z twarzą zafrasowaną, i zdawał się jeszcze więcej pochylony, zgarbiony. Zeszedł chwiejnym krokiem ze schodków, zapomniawszy nawet pożegnać się ze siedzącymi na ganku, którzy jednak nie zauważyli jego odejścia, zajęci żywo świeżo nadesłanemi gazetami i poszedł w miasto.

Niepokoiło go to, że syn nie pisze. Od kilku dni już spodziewał się listu od niego, w którym miał donieść, kiedy przyjedzie. Milczenie naprowadzało starego na różne domysły, czy syn nie chory, czy mu się jakie nieszczęście nie przydarzyło. Więcej jeszcze niespokojną była matka, trapiły ją różne złe sny. To też Leszczy , wracając do domu, myślał nad tem, co powiedzieć swojej kobiecinie dla uspokojenia jej obawy; radby ją był pocieszyć, choć sam pociechy potrzebował.

— Cóż to panie Leszczyc dzisiaj nie będzie tabaczki? — spytał go trafikant, a zarazem kupiec korzenny, u którego Leszczyc zaopatrywał się co parę dni w „mieszaną.“

Słowa te oprzytomniły zamyślonego, przypomniał sobie, że tabakierka jego już od ran pusta i wstąpił do sklepu. Kupiec po naważeniu tabaki, chciał go jeszcze zatrzymać na kufeleczek piwa, ale stary wymówił się tem, że mu spieszno do domu.

— Moja jejmość tam czeka — rzekł na usprawiedliwienie odmowy.

— Pewnieście się już z godzinę państwo nie widzieli ze sobą? — spytał kupiec z uśmiechem. — Leszczyc odśmiechnął mu się i zażył tabaki.

— Bodaj to takie stadło. Moja żona zawsze mi pana za przykład stawia i powiada, że nie pragnie niczego więcej, tylko doczekać, żebyśmy za lat kilkadziesiąt takie mieli pożycie, jak pan ze swoją żoną. Ta to podobno już po srebrnem weselu?

— Tak, trzy lata minęło.

— A państwo jak dwie turkaweczki jakby jeszcze w miodowym miesiącu. Aż miło

No, nie zatrzymuję pana, bo wiem, że tam już żona niespokojna.

Leszczyc serdecznem uściśnieniem dłoni pożegnał kupca i poszedł dalej. Z rynku skręcił w ulicę, potem obrócił się na prawo w węższą jeszcze i mało zabudowaną uliczkę, aż wszedł na obszerny plac, przez który pro wadził brukowany gościniec do bramy klasztornej.

Klasztor był stary, służył kiedyś do obrony. W grubych murach czerniły się otwory strzelnic, zarosłe teraz dziewanną i kępkami trawy. Kościół i zabudowania klasztorne mieściły się wewnątrz murów, a wejście do nich było przez szeroką bramę okutą żelazem, nad którą wznosiła się wieża z zegarem. Obok wieży było właśnie mieszkanie Leszczyca, składające się z kilku pokojów, z których okna wychodziły częścią na drogę, częścią na dziedziniec klasztorny. Zajmował to mieszkanie jako pisarz przy komisarzu i rządcy dóbr klasztornych od lat sześciu. Obowiązki swoje wykonywał z nadzwyczajną skrupulatnością i sumiennością, komisarz był z niego bardzo zadowolony a on również kontent był z posady swojej. Nie żył prawie z nikim w mieście, choć wszyscy znali go i lubili, dla jego cichego, łagodnego charakteru, i szanowali uczciwość jego. Ze wszystkimi był dobrze, ale z daleka. Dom był dla niego wszystkiem, towarzystwo żony wystarczało mu zupełnie do szczęścia. Kupiec nie przesadził, nazywając ich parą turkawek; pomimo siwych włosów kochali się młodzieńczą miłością i jedno bez drugiego tęskniło, skoro się jakiś czas nie widzieli.

Kiedy Leszczyc wracał do domu z miasta, dokąd rzadko bardzo wychodził za sprawunkami, z okna koło bramy z za gieranijek uśmiechała się do niego rumiana, pulchna twarz żony. Tak jest: rumiana twarz, bowiem pomimo skończonych lat pięćdziesięciu wyglądała jeszcze tak, że ktoby nie widział jej siwych włosów, mógłby ją wziąć za młodą mężatkę, szczególniej kiedy czerstwą twarzyczkę swoją ozdobiła białym czepeczkiem z lilijowemi wstążkami. Robiła wrażenie pogodnego dnia jesiennego, kiedy to jeszcze astry i werbeny weselą oko.

Leszczyc zdaleka już podnosił zwykle głowę i uśmiechał się do swojej jejmości, choć jeszcze

*

nie mógł dojrzeć jej twarzy z powodu krótkiego wzrostu. Tak był pewny, że go wygląda.

Ale dziś jakoś nadspodziewanie okienko wydawało mu się puste. Nie chciał wierzyć własnym oczom. Zbliżając się do bramy, przekonał się, że okno było wprawdzie otwarte, ale w niem nikogo nie było.

— Może biedactwo przeczuło, że wracam z próżnemi rękami i poszła w kąt wypłakać się — mówił sobie, idąc na górę i drżącą ręką brał za klamkę. Był przygotowany nawet na kłamstwo, byle pocieszyć smutną.

Ale ku wielkiemu zdziwieniu nie zastał żony smutnej, owszem była czegoś ożywiona, roztargniona. Żywo podeszła ku wchodzącemu i spytała go:

— A cóż, jest list?

— Listu nie ma — zaczął bąkać stary, skrobiąc się po głowie.

— Nie ma?

— Nie, jest kartka korespondencyjna — dodał żywo.

— I cóż pisze — pokaż.

— Pisze, pisze — mówił macając się po kieszeniach, niby szukając kartki — pisze, że tego... że przyjeżdża w tym tygodniu... gdzież u licha podziałem tę kartkę. No nic więcej tam nie było, tylko nas pozdrawia, jak zwykle.

Nie mógł dokończyć, spojrzenie żony bawcze i nieco żartobliwe zmięszało go. Nie wiedział, jak sobie tłómaczyć tę jej wesołość.

— Ej, bo może mnie tylko zwodzisz — odezwała się, niespuszczając z niego swoich czarnych, przenikliwych oczów.

— Ale cóż znowu miałbym zwodzić? ciekawym, dlaczego miałbym zwodzić.

— Jak mnie kochasz?

Na to zaklęcie stary nie miał odwagi kłamać dalej i spuścił oczy.

— A widzisz, zaczynasz mnie na starość oszukiwać — mówiła, zbliżywszy się do niego i grożąc mu filuternie palcem — może nawet nie był jegomość na poczcie, kto wie gdzie się bałamucił, może za jakiemi panienkami.

— Ależ Joasiu — rzekł Leszczyc składając ręce, bo samo przypuszczenie takie bogobojną w nim trwogę budziło — gdzież znowu? Byłem na poczcie, jak mnie żywego widzisz, listu nie było, ani kartki, ale bałem się, żebyś się nie martwiła.

— A o cóżbym się miała martwić? — pytała z uśmiechem, który także zgorszył Leszczyca.

— No o to, że Jaś nie wraca.

— Ha, skoro mu tam lepiej, niech sobie siedzi, ja o niego martwić się nie myślę.

— Ależ Joasiu, co ty mówisz? — odezwał się, patrząc na nią wzrokiem nie zdziwionym tylko, ale przerażonym. Nie mógł zrozumieć, co znaczy to dziwne zachowanie się żony; równocześnie uderzył go nieporządek panujący w pokoju. Mieszkanko ich odznaczało się zawsze schludnością i porządkiem; każda rzecz miała swój kąt stały. Tymczasem teraz spostrzegł, że stołek leżał wywrócony, że krosna, na których żona haftowała antepedium, leżały na ziemi, jakby gwałtownym ruchem rzucone, drzwi do drugiego pokoju były zamknięte, co się nigdy nie zdarzało. Spojrzał znowu na żonę, czekając wytłómaczenia tego wszystkiego i spotkał się z jej wzrokiem uśmiechniętym i dziwnie jakoś radośnie błyszczącym. Wesołe przypuszczenie mignęło mu jak błyskawica po głowie.

— A bo może Jaś...

Nie dokończył, drzwi drugiego pokoju szybko się otwarły i młody mężczyzna kolosalnej budowy rzucił się ku niemu, chwycił w swoje ramiona i całując mu twarz i ręce, powtarzał z uśmiechem: ojcze, kochany ojcze! Matka z oczami wilgotnemi, twarzą uśmiechniętą, rozpromieniona, przypatrywała się temu powitaniu i trzymała otwarte ramiona, aby w nie znowu zabrać syna, gdy się ojcem nacieszy. Naraz spostrzegła, że ręka męża którą objął szyję syna, spadła na dół bezwładnie; i syn, trzymając ojca w swych ramionach, uczuł także, że stary zawisnął mu ciężko na rękach. Spojrzał na niego i zobaczył twarz bladą a oczy zamglone.

— Ojcze! co tobie? — zawołał przestraszony i podniósł starego do krzesła. — Matka przybiegła co tchu ze szklanką wody, bryzgnęła kilka kropli na twarz omdlonego.

Leszczyc wstrząsnął się, otworzył oczy, spojrzał na syna, na żonę i uśmiechnął się łagodnie i serdecznie.

— Co ci się stało? — pytała troskliwie żona.

— E, nic, nic, to tak z radości. Takeście mnie przestraszyli, niepoczciwi. — I wyciągnął do nich ręce, aby ich przyciągnąć ku sobie.

— Czy ci już lepiej?

— Już, już lepiej, tylko posiedźcie tak przy mnie chwilę, niech trochę przyjdę do siebie. A tom słaby, jak niewiasta — mówił dalej ocierając spoconą twarz. — Pokazuje się, że szczęście trudniej jeszcze znieść, jak nieszczęście.

Potem spojrzał na żonę, która wpatrywała się w niego z troskliwością; uśmiechnął się do niej i przygarnął ją do siebie.

— Ej, ty, ty starucho, tak mnie zwodzić, figle się jejmości trzymają. Poczekaj, zmówię ja się kiedy z Jasiem na ciebie, zrobimy ci także prima aprilis. Prawda, Jasiu?

Tu zwrócił oczy na syna i zatrzymał je długi czas z lubością na jego dorodnej i pięknie rozwiniętej postaci.

— Uważasz ty matko, jak on zmężniał. Czyby kto uwierzył, że to mój syn. Ta to Herkules prawdziwy.

I wyciągnął znowu ręce do syna, by go przycisnąć do siebie i całował go po włosach i po skroni.

— A dajże mu już pokój, zmęczysz mi chłopca a przecież i ja się z nim jeszcze nacieszyć muszę — upomniała się matka.

I tak wzajemnie wyrywali sobie starzy syna, ciesząc się nim i darząc go pieszczotami, a on z wzruszeniem i wdzięcznością przyjmował te oznaki czułości rodzicielskiej, i całował ich ręce. (C. d. n.)

POGADANKI O WŁOSZECH

Olgi hr. Komorowskiej.

IV.

Jakkolwiek wypadło nam choć z żalem wyznać w poprzedniej pogadance, iż obecnie we Włoszech Polacy, używające sławy fanatycznych obrońców Króla-Papieża, utracili wiele z dawnych względów mieszkańców półwyspu; dzisiaj, kiedy przychodzi mówić o rozmaitych odcieniach charakteru tychże, rozpoczynamy jednakże od głównej cechy łączącej oba narody, mimo politycznych nieporozumień; a tą jest gościnność.

Przymiot ten, tradycyonalnie prawie pozostaje własnością, rzecby można, ludów słowiańskich jedynie; czy dla tego, że podług mniemania zachodu barbarzyńcami przecież w gruncie pozostajemy, i dziką zaiste myślą wiedzieni otwieramy drzwi i serca nieznanym bliźnim; czy też ubodzy na duchu jak i ciele, nie mając wiele do strzeżenia, z obojętności a nie z przekonania tę cnotę pielęgnujemy, trudno by wyrzec; sądy bowiem dawane w tej mierze przez licznych podróżnych, są niesłychanie różnej treści.

Przed niedawnemi czasy rozmawialiśmy z pewnym Francuzem, co był przebiegł kawał północnej Europy i aż o Polskę zaczepił; jak na Francuza nawet dosyć ztąd miał wynieść korzyści umysłowej, i otrząść się nieco z owego olbrzymiego uprzedzenia o swej wyższości, zdanie więc jego powinnoby nosić znamię większej bezstronności.

„Gościnność słowiańska a mianowicie polska,“ rzekł nasz „causeur“ „jest jak szczebiotanie dziecięcia, lub śpiew ptaka: wynikiem wesołości chcącej się podzielić z drugimi. Nie ma w niej zasługi, bo nie pochodzi z namysłu, ale jest mimowolnym popędem... niedoświadczenia...“ dodał z uśmiechem. Za to znów Mister B., Anglik turysta, chłodno rozsądny, co także pokilkakrotnie północ odwiedzał, a w Polsce bawił czas jakiś, o tejże gościnności tak się wyraził:

„Czy jest ona przymiotem od natury danym, czy wyrozumowaną cnotą, nie chodzi o to podróżnemu, który staje się jej celem; to tylko bezstronnie wyznać należy, iż ona umila w sposób najbardziej za serce ujmujący pobyt w tych krajach; gdyż nie płynie z żądzy zarobku jak u Niemca, z chęci wypaplania się jak u Francuza, pragnienia pochwalenia się samym sobą, jak u moich współbraci; lecz ze źródła czystszego, jeśli się tak wyrazić wolno bez przesady, bo wyłącznie z serca początek bierze. Polak raduje się gościem, a z wdzięczności za radość doznaną, w dom mu wniesioną, otwiera podwoje, karmi, poi, ściska, a co więcej sercem bierze udział w życiu wędrowca. Radość ową, niby obłok ciężarny dobroczynnym deszczem z ziemi zaczerpniętym, ożywczym strumieniem spuszcza on na strudzoną głowę przechodnia; a kiedy ziemia wdzięcznie się uśmiecha i wonią odsyła obłokom wyrządzoną przysługę, tak i podróżnik odświeżony tą rosą sercową, uśmiechnąć się przyjaźnie musi, bo i jemu lżej się robi na duszy, patrząc na radość, której chwilowo jest głównem ogniskiem“.

Przytaczamy tu oba te zdania, lecz może żaden z dwóch podróżników trafniej i prawdziwiej nie osądził od pewnego małego chłopaczka, którego dowcip lekkomyślna mama lubiła często produkować przed obcymi. Pewnego razu naszemu młodemu fenomenowi w gronie kilku osób znajomych zadano pytanie: co to jest gościnność? Michaś włożył paluszek w buzię tak głęboko, jak pozwalała długość tegoż, a po chwili namysłu rzekł donośnie:

„Mama zawsze powtarza, że to wielka cnota, kiedy zmusza do bawienia takich nudziarzy, jacy ją co dnia odwiedzają; ale gdyby nie bywali, toby się bardzo nudziła.“

Częstokroć głównym bodźcem gościnności jest próżnia nas samych.

Ostatnie to przypuszczenie bardzo się może do gościnności włoskiej zastosować. Włosi są gościnni i nietylko za pieniądze, ale i bez nich; lecz gościnność ta pochodzi rzeczywiście z wielkiej próżni, jaką noszą w sobie. Wchodzącego gościa przyjmą mile, posadzą wygodnie, upieszczą, nakarmią, napoją; ale moralnie wyduszą go jak cytrynę. Jesteś Niemcem, Polakiem, Moskalem, Anglikiem, Chińczykiem, lub Patagonem; baw ich, opowiadaj o dziwach widzianych, przygodach doznanych, ciekawych krainach, kłam, jeśli ci się podoba, ale opowiadaj; płać w ten sposób za każdy uścisk ręki, każdy kąsek, a znajdziesz zawsze miejsce twe u stołu, uśmiech przyjazny. Nachmurz się, schowaj do skorupki ślimaczej ze znużeniem, bolem, na drugi raz kwita z gościnności; z pierwszej próbki osądzono cię za nieużyteczny sprzęt i dadzą ci odprawę, od której w uszach ci zadzwoni jękiem a za gardło schwyci coś silnie niby lodowata ręka. I to we wszystkich prawie częściach kraju i wszelkich warstwach społeczeństwa tutejszego.

Włoch z natury jest podejrzliwym; lęka się cudzoziemca dla kieszeni, jeżeli ją ma pełną, dla żony, jeśli ładna, dla córki, jeśli na wydaniu, dla syna, by go nie okpili; lęka się i pożąda jednak zarazem, bo stanowi on dla niego źródło zabawy, rozrywki, wypełnia niezmierną próżnię życia domowego, zajmuje miejsce trubadura, gęślarza, i skraca długie godziny siesty. Niech ów cudzoziemiec bystro, jednym rzutem oka obejmie, streści i potrafi zająć zręcznie swoje stanowisko, dom Włocha stanie się domem jego; lecz niech się nie uniża, nie schlebia, przeciwnie uszanuje własną godność, niczem nie naruszając nawyczek, słabostek, śmiesznostek kółka domowego, do których tu przywiązuje się wielką wagę, a po niejakim czasie nietylko drzwi, ale i serca gospodarstwa staną mu otworem. Jeżeli się raz jeden kornie uchyli przed kaprysem, połknie w milczeniu przytyk, posądzą go o chciwość, o interes, i wprost jak nieprzyjaciela wystrzegać się będą.

Mówimy tu naturalnie o licznej klasie cudzoziemców, szukających zarobku, sposobu do życia, lub tych, co szczupłemi środkami utrzymania rozporządzają; bogaci, jak wszędzie noszą z sobą najpotężniejszy passe-partout — pieniądz, a przed nim jednym, niech co chcą piszą moraliści, wszyscy dziś uchylają czoła; on sam władcą i panem pozostał. Jesteśmy i żyjemy w apokaliptycznym wieku kruszcu, czy to złota w postaci lśniących monet, czy żelaza pod nazwą dział, pancerników i psotnych bomb.

Lud prosty nie rozumuje wiele, instynktem samym równie ciekawie wita i gości cudzoziemca. Wieśniak, wchodzącego artystę, podróżnika, gronko przechadzką znużonej młodzieży miejskiej, dziatwy pańskiej, chętnie powita w chacie; nieproszony stawia wino, chleb, ser, mleko, jeżeli je posiada, owoce w każdej porze roku. Od znajomych, dłużej w okolicy goszczących, odmówi zapłaty, a czasem nawet rzeczywiście obrazi się nią, gdy w jakibądź sposób czuje się sam dłużnym wdzięczności, czy to za dobrą radę, czy za dobre słowo, czy za drobny podarek poprzednio odebrany. Od obcych przyjmie zapłatę bez wahania, lecz uzna ją zawsze jako dar a nie należytość, a schowawszy ją uraczy znowu na drogę, dziękując szczerze, że raczyli wstąpić i odwiedzić; dziatwie rozda dwa razy tyle owoców, ile zjadły za pieniądze, zmusi prawie wypić drugie tyle wina, a najszczęśliwszym się czuje, jeżeli podane jadło smakuje, chata się podoba. Uprzejme obejście, żarcik, pieszczota brudnego dzieciaka, wypytywanie o stan zdrowia rodziny, bydła, zbiór zboża i wina, więcej go ujmie, niż najobfitsza nagroda pieniężna.

Ale i on, jak inne stany, także lubi nasycić ciekawość, i bierze na spowiedź mniej oględnie, ale jak to mówią, prosto z mosta. Nieraz wydarzyło nam się w piękne dnie zimowe, skwary lipcowe, znużonym lub dla ogrzania wejść do owych chat wieśniaczych, czy to na równinach nadmorskich, czy wśród wzgórzy, i na szczytach Apeninów; prawie zawsze przyjęcie było z początku podejrzliwe, ale po pierwszych wymienionych słowach topniały lody, raczono czem dom miał, pojono, sadzano na najlepszem miejscu, latem w chłodzie, zimą tuż przy ognisku, i wypytywano natychmiast z dziką nieco ciekawością z jakiego kraju i jakim sposobem zawędrowaliśmy aż do nich; a w miarę naszych opowiadań kółko się ścieśniało, uwaga natężała, ale i serca otwierały. Dzieciaki, wprzód trwożnie stojące, pouczepiane za fartuszki matek, przychodziły w końcu odwiedzin same, bez wołania, i nadstawiały brudne buziaki do bratniego całusa, patrząc w oczy z tą lubą niewinnością psiąt młodych, nie lękających się jeszcze kija. Starzy kiwali głowami nad tymi strasznemi krajami, w których ziemia przez pół roku jest śniegiem okryta i mrozem ścięta; młodzi po kilkogodzinnej pogadance dodawali często:

„Ziemia musi tam być bardzo smutna, ale ludzie na niej dobrzy jak wy“. I rozstawano się najlepszymi przyjaciołmi.

Wspomnieliśmy o próżni życia domowego Włochów, a ta jest w istocie dziwnie za serce ściskającą, chociaż od lat dwudziestu znaczna na korzyść zaszła zmiana; jednakowoż dla naszych patryarchalnych wyobrażeń próżnia owa czuć się jeszcze daje.

W wyższych jak i niższych klasach, kobieta, ten główny punkt i sprężyna niejako całego ruchu domowego, nadająca życie i kierunek owemu małemu królestwu, kobieta jest tu bardzo mało wykształconą i nie odpowiada dotąd stanowisku, jakie w innych krajach zajmuje małżonka i matka rodziny. Jest to istota, co je słodycze i ciastka, ubiera się i rozbiera, śpi wiele, mówi prędko o niczem, a myśli tak mało, o ile dozwolonem jest ludzkiemu stworzeniu. Od lat ośmiu, dziesięciu najwyżej wieku, opuszcza dom rodzicielski, i wychowuje się w klasztorze; zkąd powraca 17stoletnią dziewicą, którą wnet życie światowe pochłania, zabiera, wprowadza w dom męża, gdzie czas krótki jest kochanką namiętnie, nierozsądnie psutą, a następnie z przesytu odłożoną na bok jak sprzęt niepotrzebny, o który pan domu troszczy się o tyle, o ile to do wygody jego własnej służy. Drobniejszemi dziećmi trudnią się sługi, a starsze tąż samą koleją do klasztorów i pensyonatów wychodzą, podczas kiedy matki półdrzemiąc haftują, modlą się i nudzą śmiertelnie.

W niższych klasach kobieta, nie mając dostatecznych środków na utrzymanie służby, trudni się domem, z którego czystość, porządek i wszelka poezya są najczęściej zupełnie wygnane. Nieszczęsny mąż skazanym jest na widok swej małżonki, zawsze w całkowitym rozstroju ciała i umysłu; Włoszka bowiem, żona małego urzędnika kupca i td., tylko w niedzielę na mszę i na przechadzkę równie jak i dzieci ubraną, nawet wystrojoną bywa; przez cały tydzień oni i ona zaledwie starą, brudną odzieżą okryci; włosy rano nieco dłonią przygładzone, w pretensyonal-nym układzie przez fryzyerkę na święto nada-nym noszone sześć całych dni, piętrzą się nad twarzą nieumytą, pudrem przysypaną i nader prędko uwiędłą. Taka nieapetyczna gosposia, z pomocą równie brudnej i nieuczesanej sługi, gotuj skromny obiad w zimie, w lecie najczęściej jad się na zimno ze sklepów przynoszone mięsiw owoce, chleb; prasuje, pierze od niechcenia, dzieciom noski obciera, jeśli sobie o tem prz pomni; kłóci się z sąsiadkami, plotkuje z prz jaciółkami, a o świecie ma tyle wyobrażenia, il nowonarodzony wróbel i rzekłbyś, iż tylko szczu płą dozę jego mózgu posiada.

Kobiety tutejsze mają w ogólności dob serce, są mniej chciwe władzy, pieniędzy, bły skotek, zabaw, od ich francuskich krewniaczek nie byłyby ograniczone, gdyby wychowanie o dziecka ćwiczyło umysł do pracy samoistnej, roz wijało pamięć, sąd i władze pojmowania; al niestety! dotąd wszystko się składało, aby t biedne kobiecięta, z pieluch i powijaczy moralnych nigdy nie wychodziły, a przez to samo mężczyźni również okazują pewne błędy wychowa nia, nieodłączne od tego stanu apatyi moraln ich matek, sióstr i małżonek.

Ponieważ te panie w domu chętnie w niedbałych strojach przebywają, więc i mężczyźni nie zadają sobie pracy być lepiej i staranniej ubranymi, a ich drobne nałogi, rażące dobrze wy chowanych, jak plucie na podłogę, a często i n kobierce, zachlipywanie się jadłem, ziewan w twarz obok siedzącym, i tym podobne niemiłe n wyczki, są skutkiem ciągłej wolności zwierzęc niekrępowanej nigdy obawą ubliżenia matc uchybienia siostrze, niezadowolenia żony. Nawy kło się nie uważać na nie.

Powtarzamy, iż obecnie w niektórych mia stach wychowanie kobiet poczyna przybierać kierunek bardziej nowożytny i postępowy; lecz dopiero następne pokolenie będzie mogło prawdziwie uczuć cały zbawienny wpływ rozwo umysłowego niewiast; teraźniejsze jest jeszcz niepewne siebie, wpada w błąd zwyczajny nie wypróbowanych sił ducha, nie umiejących iś w parze z wymaganiami rodziny i codzienneg żywota. Albo całkowicie naukom się oddają, za niedbując dom i ręczne roboty, albo przeciwni z czasem przyjdzie i tu dojrzałość, a wówcz przekonają się, że kobieta co czyta i rozum każdą książkę na biórze małżonka leżącą, m równie porządnie uszyć i uprasować mu ko jak ta co po wyprasowaniu tejże, szła na szpory kokietować z młodzikami, lub z sąsiadka przez okno długie rozmowy wiodła o tymże ni wyczerpanym przedmiocie.

A że Włosi umieją oceniać wykształceni niewiast, dowodzi to, iż chętnie bardzo żenią si z cudzoziemkami, a co więcej, są wówczas dobrymi mężami, co nie zawsze się trafia w stadłach włoskich, z przyczyn już przytoczonych, gdyż nasyciwszy zmysły, nie znajdując podpory moralnej, nieopatrznie tworzą sami próżnię, co ich z domu wygania do kawiarń i zebrań, w których wieczory całe i część nocy przepędzają, podczas kiedy Anglik po całodziennej pracy wzdycha do ogniska domowego, jako do wytchnienia i źródła, gdzie czerpie siły do walki i starań o codzienne życie istot, co mu te wieczory umilają nie samą pieszczotą i pocałunkiem, ale udziałem, zajęcien zrozumieniem całej ważności obopólnych obo wiązków. (Dok. nast).

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE *)

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

Od czasu gdy metoda spostrzegawcza dokonała nowych zmian w umiejętnościach fizycznych, wykazując wszędzie prawa ogólne, porządkujące i objaśniające nieskończoną rozmaitość zjawisk, podobna rewolucya zaszła także w naukach, mających za przedmiot swych badań człowieka. Czyliż nie jest dziś zadaniem filozofii dziejów, gospodarstwa społecznego, statystyki, wykryć prawa przyrodzone i moralne, rządzące społeczeństwami? Między człowiekiem i przyrodą bezwątpienia ta zachodzi różnica, że pierwszy jest wolnym, gdy tymczasem druga nieuniknionym dąży torem; — rozmaitość ta utrudniając zagadnienie nie zmienia go przecie. Jakąkolwiekbądź byłaby wolność jednostki, jakkolwiek by jej ktoś nadużył, czujemy, że rozmaitość ta rozmyślnie została wprowadzona do planu stworzenia, nawet wybryki wolności są tu przewidziane i uporządkowane. W tem to znaczeniu słusznem jest zdanie Fenelona, że człowiek się porusza a Bóg go prowadzi. Nasze cnoty, nasze błędy, nasze ułomności, nawet nasze nieszczęścia, stanowiąc najzupełniej o naszym losie, służą niemniej do spełniania najwyższej woli.

Wykryć prawa rządzące światem moralnym, oto jest zadanie, jakie sobie stawia filozofia polityczna. Dziś nie wierzymy już, ażeby Bóg, mięszany bezustannie do naszych namiętności i do naszych nieszczęść, był zawsze gotów wyjść z obłoków, i z gromem w ręku pomścić niewinność i ukarać zbrodnię. Mamy o Bogu daleko wyższe pojęcie, Bóg wybiera swą godzinę i swoje środki, gardzi naszymi. Chcąc nas ukarać albo odwieść od czegoś, pozostawia on nas tylko samym sobie, a wtedy wewnętrzne nasze zakłócenie sprowadza nas na drogę pokuty.

Jeżeli już nie wyczekujemy od sprawiedliwości boskiej tych *coups de théâtre*, rozwiązujących dramat w sposób straszny i nagły, tem bardziej jeszcze nie możemy sobie przedstawić, ażeby wielki człowiek zjawił się niespodziewanie wśród społeczeństwa martwego, ukształtował je podług swej woli, i jak drugi Prometeusz ożywił swem tchnieniem. Geniusz zajmuje odpowiednie miejsce w dziejach, wydatniejsze nawet, aniżeli mu je dziś wytykamy, bohater wszakże w odpowiednim tylko zjawia się czasie. Scena musi być dlań przygotowaną. Prawdę powiedziawszy, jest on tylko ulubionym aktorem, grającym pierwszą rolę w sztuce nie przezeń stworzonej. Cezar mógł się zjawić jedynie w czasie takiego upadku, w którym lud rzymski spodlony i zepsuty żebrał dla siebie władzcy. Na co by się przydała cnota Washingtona, gdyby wielki ten człowiek nie był zrozumianym i popartym przez naród miłujący wolność.

*) Ideen zu einem Versuche die Grenzen der Wirksamkeit des Staats zu bestimmen von Wilh. v. Humboldt. Berlin 1851. Der Einfluss der herschenden Ideen d. 19. Jahrhunderts auf das Staat v. Baron Jos. Eeetvoes. Leipzig 1854. On Liberty by John Stuart Mill. London 1859. La Liberté p. Jules Simon. Paris 1859.

Pojmujemy to, lecz na nieszczęście nauka jest nową i niedokładnie pobudowaną. Gromadzenie faktów jest dziełem trudnem i nie zjednywa rozgłosu; łatwiej daleko wymyślać systematy, oddzielną zasadę podnosić do znaczenia zasady powszechnej, jednem słowem zdawać sprawę ze wszystkiego. Ztąd to pochodzą te piękne teorye: wpływ rasy albo klimatu, prawo stopniowego upadku, powrotu, oporu, postępu. Rozkwitują one i więdną w jednej porze roku. Nie ma nic zręczniejszego i dowcipniejszego nad idee Vico, Herdera, Saint Simona, Hegla, wszakże nadto jest widocznem, że pomimo wspaniałości w szczegółach, zuchwałe budowy na żadnej nie opierają się podstawie. Jakie miejsce zająć winna wolność pod rządem ślepych sił, wiodących ludzkość ku przeznaczeniu? Jaka cząstka działania i odpowiedzialności przypaść ma w udziale jednostce. Zamiast rozwiązać zagadnienie, rozum wysilał się, aby obejść takowe. Lecz poetyczne te urojenia nie mają dla nas wartości. O jedno tylko zapytujemy, a na to jedno tylko nam nie odpowiedziano.

Jeżeli chcemy napisać filozofię dziejów, któraby nauka mogła uznać za taką, musimy zmienić metodę i powrócić do spostrzegawczej. Nie dość badać wypadki, będące tylko skutkami, trzeba zbadać ich przyczyny, idee, które sprowadziły te wypadki, i tutaj to ujawnia się wolność. Gdy sporządzimy w ten sposób rodowód idei, gdy się dowiemy, jakie wychowanie otrzymał każdy wiek, w jaki sposób poprawił on i uzupełnił doświadczenie swych przodków, natenczas będziemy w stanie zrozumieć bieg przeszłości, a może nawet przeczuć przyszłość.

Nie mylmy się wszelako co do tego. Życiem społeczeństw, zarówno jak i życiem osobników rządzą i przewodzą pewne mniemania, pewne przekonania. Nawet wtedy, gdy o nich nie mamy świadomości, najobojętniejsze czynności nasze opierają się na stałej zasadzie, na trwałej podstawie. Za pomocą tego właśnie wyjaśnia się powszechny wpływ religii. Weźmy pierwszego lepszego człowieka, na pierwszy rzut oka uderza nas jego samolubstwo i namiętności, być może że w całem jego zachowaniu nie można się dopatrzyć innego działacza. Lecz weźmy cały naród. Widzimy, że ponad namiętnościami osobnikowemi, już to będącemi w sprzeczności z sobą, już to wzajem się zobojętniającemi, przechodzi prąd idei wspólnych, ogólnych, prąd unoszący w końcu cały naród. Otwórzcie dzieje, a nie znajdziecie ani jednego wielkiego narodu, którыby nie był zwiastunem i przedstawicielem pewnej idei. Czyliż Grecya nie jest ojczyzną sztuk pięknych i filozofii, czyliż Rzym nie jest wzorem rządu i polityki? Izrael, czyliż nie jest wyrazem najczystszego monoteizmu? Któż dziś dla nas jest przedstawicielem wiedzy, czyż nie Niemcy? Przedstawicielem jedności, czyż nie Francya? Wolności politycznej, czyliż nie Anglia? Oto jedna z tych prawd widocznych, narzucających się uwadze nauki, a którą ta ostatnia zbadać powinna.

Stworzyć historyą idei, śledzić krok w krok ich powstanie, rozwój, upadek lub przeistoczenie, oto dziś najpierwsze zadanie, które wyrzuci z dziejów słowo „przypadek,“ wymówkę naszej nieświadomości. W ten sposób badane: religia, polityka, umiejętności, literatura, sztuki piękne, nie są już czemś zewnętrznem, przedmiotem szlachetnej ciekawości, są one częścią nas samych, pierwiastkiem naszego życia moralnego. Pierwiastek ten odziedziczyliśmy po naszych ojcach, wraz z krwią, którą nam dali, odrzucić go jest niepodobieństwem. Zmieniać go stopniowo jest naszem codziennem zadaniem. Na tym polega panowanie wolności.

Otóż wysiłki umysłu ludzkiego, podejmowane dla osiągnięcia tych stopniowych zmian, przedstawiają najciekawsze i najpożyteczniejsze w dziejach widowisko. Pokolenia pędzą, unoszone siłą pewnych prądów; prądy te, słabe przy powstaniu i zwolna się wzmacniające, rozlewają się następnie na dalekich przestrzeniach, i nikną jak Ren w piaskach bez nazwy. Szukajcie początku reformy, a będziecie musieli poomacku cofnąć się do nocy wieków średnich. Ale w czasach Wiklefa i Husa ogłusza nas idea potężna i straszna, gotowa obalić wszystko. We dwa wieki po Lutrze potok wrócił do swego łożyska; po tej gorączce religijnej, która przewrót zrobiła w Europie, ostały się tylko sprzeczki teologów. Ludzkość innym się pragnieniom oddała. Gdzież się zaczyna ta gwałtowna miłość równości tryumfująca wraz z rewolucyą francuską? Nikt na to nie odpowie, wszakże na długo jeszcze przed 1789 r. dawało się uczuć zbliżanie burzy, widocznem było jak kamień po kamieniu opadał z tego społeczeństwa zgrzybiałego, którego nie wiązała już ani wiara religijna, ani przekonania polityczne; każdy dzień przyspieszał zniszczenie, które ogarniało wszystko. I cóż nakoniec obaliło ten stary dąb feudalny, pod którego cieniem tyle wzrosło pokoleń? Idea!

Czyż tylko w historyi śledzić możemy te straszne siły, zmieniające postać świata? Czyliż dla wyjawienia nam swej tajemnicy muszą one wyczerpać się w gwałtownym wybuchu? A jeżeli idea jest w pełni życia, czyliż nie można zbadać stopnia jej potęgi? Czyli nie można obliczyć jej zboczeń i rzutu? Dla czego nie? Czyli ludzkość nie dość długo żyła, ażeby poznać samą siebie? Cóż przeszkadza ustaleniu nauk moralnych przy pomocy spostrzegania? Czy dojdziemy tą drogą do wykrycia praw pewnych, czy będziemy w stanie przewidzieć przyszłość? Tak i nie, stosownie do tego, jakie znaczenie przywiązujemy do słowa: przewidzieć. Astronomia wskazuje nam dokładnie dzień, w którym za lat sto będzie miało miejsce zaćmienie, nie jest zaś w stanie nam powiedzieć co za powietrze jutro mieć będziemy. Zna ona obieg stały ciał niebieskich, lecz wymykają się z pod jej znajomości zmienne zjawiska atmosfery. To samo zachodzi z umiejętnościami politycznemi. Nie powiedzą one, czego Francya zażąda lub co zrobi za sześć miesięcy. Pośród namiętności naszych jest też pewna niestałość zadająca kłam obliczeniom. Lecz być może, umiejętności te przewidzą z dość pewnym prawdopodobieństwem, co o danem pytaniu myśleć będą za lat 10 Francya lub Europa.

Twierdzenie to, nawet tak dalece ograniczone, wyda się bezwątpienia zuchwałem. Dla tego pragnę na własną moją odpowiedzialność zrobić odpowiednie doświadczenie. Z narażeniem się na sławę fałszywego proroka, zamierzam zbadać ideę, która dziś zapoznawana, ziści się według mnie, w niedalekiej przyszłości. Idea ta, nienowa zresztą, lecz której godzina jeszcze nie wybiła, głosi, że państwo, lub jeśli kto chce zwierzchnictwo, ma granice przyrodzone, gdzie się kończy jego władza i jego prawo. Obecnie, wyłączywszy Anglię, Belgię, Holandyę i Szwajcaryę, podobna idea nie jest przyjętą i uznaną w Europie. Państwo jest wszystkiem, zwierzchni-

ctwo nie ma granic, centralizacya z każdym dniem wzrasta. W praktyce, nigdy wszechpotęga państwa widoczniej uznaną nie była; w teoryi zaś wszechpotęga ta jest już na schyłku. Podczas gdy zarząd coraz powiększa swe zdobycze, wiedza ze swej strony odpiera zabory, wykazuje ich niesprawiedliwość i niebezpieczeństwo. Jak długo trwać będzie ta walka, trudno powiedzieć; dla umysłu wszakże istnieją pewne prawa i wolno mniemać bez zbytniej zarozumiałości, że jeżeli dziś mniejszość wybrana walczy za prawdę, to mniejszość tę w końcu poprze kraj cały.

Ażeby do głębi przeniknąć panującą ideę, ideę jaką sobie tworzą o państwie ludzie stojący w Europie na czele spraw, musimy zbadać w jaki sposób idea ta powstała, albowiem ma i ona swój rodowód, i ona jest córą wieków, i właśnie dla tego, że pomału wzrastała, pomału się też zestarzeje. Przeszłość jej służyć nam może za rękojmię takiej przyszłości.

U Greków i Rzymian (są to nasi przodkowie polityczni) państwo pozornie tylko przypomina nasze rządy nowożytne. Przepaść dzieli oba społeczeństwa. U starożytnych nie ma przemysłu, nie ma handlu, uprawa roli spoczywa w rękach niewolników. Próżniactwo przeciwnie zjednywa szacunek i uznanie. Wojna i polityka, oto wyłączne zajęcia Rzymianina. W czasie wolnym od bitew przepędza on życie na placu publicznym w wiecznem wykonywaniu zwierzchnictwa. Obywatelstwo było obowiązkiem urzędu. Wyborca, mowca, przysięgły, sędzia, urzędnik, senator, Rzymianin słowem posiada i może posiadać tylko jednę cnotę: patryotyzm, jednę tylko wadę: ambicyą. Dodajmy do tego, że nie ma wcale klasy średniej i że w Rzymie wcześnie już spotykamy ostateczną nędzę obok nadzwyczajnych dostatków i bogactw, a zrozumiemy, że wolność u starożytnych jest tylko panowaniem niewielu uprzywilejowanych.

Przy podobnym stanie rzeczy nie podobna sobie wyobrażać, aby ktokolwiek miał prawa niezależne od państwa. Państwo jest nieograniczonym władzcą obywateli. Nie znaczy to, aby Rzymianin miał być uciśnionym; lecz, jeżeli korzysta z praw, to nie jako człowiek, ale tylko jako zwierzchnik. Jednę tylko religię swych ojców uważa on za uprawnioną, jeden tylko Jowisz Kapitoliński obronić może dzieci Romulusa. Myśl nie jest niczem tamowaną, gdyż na Forum wszystko można wypowiedzieć. Mowa jest publiczną, krasomowstwo rządzi. Wolności nic nie zagraża, bo i któżby śmiał dotknąć ręką obywatela, choćby okrytego łachmanami? Tak dalece posuwa się szacunek imienia rzymskiego, że kara nie dosięga winnych. Niech skazany ustąpi, jak król schodzący z tronu, niech się każe wpisać do innego jakiego społeczeństwa, a prawo go nie dosięgnie, zemsta publiczna zostaje rozbrojoną.

Nie jest rzeczą niezbędną dla nas rozbierać te starożytne konstytucye, budzą one w nas zajęcie jedynie dla zaspokojenia naszej ciekawości. My mamy inne potrzeby i inne idee. Społeczeństwo przemysłowe i zajmujące się handlem ma co lepszego do roboty niż spędzać dnie próżniacze na Forum. Życie publiczne jest tylko słabą cząstką naszego istnienia. Pierwej jesteśmy ludźmi, zanim się stajemy obywatelami, i jeżeli nowożytni mają jakieś roszczenia polityczne, to ostatnie polegają mniej chyba na własnem ich rządzeniu, jak raczej na kontrolowaniu właściwego rządu. Z drugiej strony sztuka drukarska usunęła ważność placu publicznego i stworzyła siłę w innym rodzaju straszną. To nie setka plebejuszów zgromadzonych dokoła trybuny, jest to opinia powszechna, żywioł niedający się ująć, z którym wszelako rachować się trzeba. W końcu, religia nie jest już dla nas czczym jedynie obrzędem, nakłada ona na nas obowiązki i nadaje nam prawa, do których nie rozciąga się bynajmniej juryzdykcya państwa. Naśladowanie więc starożytności mogłoby nas tylko sprowadzić z drogi. Srodze tego doświadczyli nasi ojcowie, gdy niezręczni prawodawcy próbowali przerobić ich już to na Spartan, już to na Rzymian. Być może, że ze starych tych pierwiastków pozostało więcej, aniżeli znieść może nasze społeczeństwo.

Póki Rzym był rzecząpospolitą, tj. arystokracyą wszechpotężną, szlachta używająca wolności udzielnej nie czuła niebezpieczeństwa swej teoryi państwowej. Ta garstka uprzywilejowanych rabowała świat nie troszcząc się o niewolę, którą rozszerzała na zewnątrz, o zepsucie które rozsiewała wewnątrz; lecz gdy naród wprawił się w przedajność, dość było jednej śmiałej ręki, ażeby położyć kres monopolowi kilku rodzin; pod brzemieniem niewoli powszechnej zgniecioną została wolność rzymska. Wszystko stało się prowincyą, nie było na świecie innego prawa okrom kaprysu cesarza.

Nam, żyjącym w pośród cywilizacyi złagodzonej przez chrześciaństwo i przez sąsiedztwo innych narodów wolnych i chrześciańskich, trudno wyobrazić sobie, czem był ten despotyzm, któremu wszystko ulegało, i od którego wybawić mogła tylko śmierć. Wszystko było w ręku Cezara, armia, skarb, zarząd, sprawiedliwość, religia, wychowanie, mniemanie powszechne, wszystko aż do własności i życia najmniejszego obywatela. Nie ma też się czemu dziwić, że wcześnie bardzo Rzymianie zaczęli ubóstwiać swych cesarzy. Żyjący — to *Numen*, bóstwo opiekuńcze, zmarły to *Divus*, jeden z geniuszów opiekuńczych cesarstwa W języku kancelaryjnym, ręka przykładająca pieczęć pod prawem jest *boską*, słowa Cezara są *wyrocznią*. W wyniosłych swych tytułach władca ten, jak dzień przemijający, przypisuje sobie nawet wieczność, samemu tylko Bogu przynależną.

W jaki sposób rządził cesarz? Sam on rządzi za pierwszych Cezarów, jak to można wnosić z listów Trajana do Pliniusza; później zaś, w miarę jak słabły ostatnie swobody miast, zarząd, biura myślą i działają za świat cały. Kto bada napisy, otwiera kodeks Teodozyusza lub Justyniana, wszędzie spotyka się z centralizacyą, która zwiększała się z dniem każdym, póki nie pognębiła społeczeństwa swą straszną opieką. Jeśli chcemy powziąć dokładne wyobrażenie o tem, czem mogło być cesarstwo w chwili najazdu barbarzyńców, zajmijmy się dzisiejszemi Chinami. Badanie to nauczy nas, w jaki sposób przez nadmiar opieki rządowej, najmędrsze prawidła zastosowywane przez inteligentnych urzędników mogą osłabić naród posłuszny i doprowadzić go do niewoli i do śmierci.

Pomiędzy przyczynami upadku cesarstwa, trzeba pomieścić, i to nie w ostatnim szeregu, fałszywe pojęcie, jakie sobie Rzymianie wytworzyli o państwie. Było to starożytne przeświadczenie o zwierzchnictwie gminnem. W teoryi rzeczpospolita trwała ciągle, panujący był tylko przedstawicielem demokracyi, dożywotnim trybunem narodu. Prawnicy trzeciego wieku badając władzę Cezarów, dochodzą do wniosku, że wola panującego ma siłę prawa. *Quod principi placuit legis habet vigorem.* Za podstawę takowej zasady podają, że naród zlał na panującego całą swoją władzę. W ten to sposób z krańcowej wolności wyprowadzali ostateczną niewolę.

Nie widać ażeby Rzymianie mieli kiedykolwiek zaprotestować przeciwko tej przygniatającej ich teoryi. Tacyt żałuje rzeczpospolitą i winszuje Trajanowi, że połączył dwie rzeczy, w Rzymie bynajmniej nie idące w parze, zwierzchnictwo i wolność. Nie wyobraża sobie atoli, ażeby można było ograniczyć zwierzchnictwo. Urzędy podzielone, roczne i odpowiedzialne, oto wszystko na co się zdobyła mądrość starożytnych. Było to polityczną rękojmią niepodległości obywatela, cofnięto porękę, a wszystko zostało straconem, i straconem bezpowrotnie.

(C. d. n.)

DALEKIE ŚWIATY.

POGADANKI NAUKOWE

przez

BRUNONA ABAKANOWICZA.

Was wär' ein Gott der nur von ausser stiesse
Im Kreis das All am Finger laufen liesse.
Ihm ziehmt's die Welt im innern zu bewegen
Natur in Sich, Sich in Natur zu hegen...

Goethe.

Dla człowieka myślącego nie ma słowa robiącego potężniejsze wrażenie, a przytem bardziej zagadkowego nad zwykłe, codzienne słowo: *nieskończoność!*

Mózg ludzki, to siedlisko wszelkich naszych wiadomości, jest niestety tak niedołężnym przyrządem, iż pojęcie nieskończoności jest mu dostępnem tylko w ogólnych zarysach. Gdzie tylko, mając logikę za przewodnika, zacznie robić ze zwykłych stosunków wnioski o nieskończoności, wnet wpada w zasadnicze sprzeczności, z których żadna potęga wywikłać go nie zdoła... Daremne są wszelkie wysiłki umysłu — zawsze się przekonywamy, że jest tam coś, czego pojąć nie możemy, coś, wobec czego czujemy się bezsilni...

Ta tajemnicza zasłona, której niedołęstwo naszego mózgu dotąd zedrzeć nie zdołało i prawdopodobnie nigdy zedrzeć nie zdoła, ma w sobie, jak każda rzecz niedostępna, coś pociągającego. Człowiek się rwie zawsze najusilniej tam, gdzie mu największe zapory stoją na przeszkodzie, jeśli tylko chodzi o rozwiązanie jakiejś tajemniczej zagadki. Czy to będzie biegun, otoczony nieprzebytymi lodami, czy wnętrze Afryki, bronione pustyniami, chorobami i dzikimi ludami, czy tajemnice światów, które aż do nieskończoności przestrzenie niebieskie wypełniają, czy też tajemnice światów nieskończenie małych, ukrywające się między atomami — zawsze w kierunku tych nieznanych wytężał człowiek wszystkie siły swego umysłu.

Lecz był czas, kiedy tylko wybrańcom wolno było zajmować się naukami, mającemi właśnie zbadanie tych tajemnic na celu.

Kryły się one w celi mnicha średniowiecznego, w pracowni astrologa, nareszcie w gabinecie uczonego. Nauka, jak kapłaństwo, miała swoje tajemnice, wybranym tylko wolno było je dociekać tak, jak tylko teologowi rozmyślać wolno nad tajemnicami Apokalipsy. Był pewien monopol, pewna organizacya, która tylko szczęśliwszym czyniła dostępną wielką dziedzinę wiedzy. A z iluż

to jeszcze trudnościami było połączone swobodne badanie praw przyrody i zagłębianie się w jej tajemnice. Nawet życia nie można było być pewnym. Zrobił ktoś jakieś odkrycie ważne i zadziwiające w dziedzinie fizyki — uważano go za czarownika, zostającego z dyabłem w zmowie i widział stos przed sobą lub długoletnie więzienie— odkrył ktoś nowe prawa, kierujące biegiem świata w przestrzeni, wyznaczył słońcu odpowiednie na niebie miejsce — uważano go za kacerza i znowu widział stos przed sobą. Głosił ktoś odważnie prawdy, o których się doświadczeniem przekonał, ale które się nie zgadzały z dotychczasowemi pojęciami — mianowano go fałszywym prorokiem, odstępcą, i znowu stos miał na widoku. Później czasy się trochę poprawiły i zamiast na stos, posyłano wielkich wynalazców do szpitalu waryatów. Dziś rzeczy mają się lepiej, chociaż średniowieczny potwór niewoli sumienia i niewoli wiedzy podnosi od czasu do czasu głowę i miota przekleństwa; jednak na szczęście tylko bezsilne przekleństwa, nie poparte ani stosem, ani torturami.

To też pomiędzy nauką a życiem ogólnem wytworzyła się luka ogromna. Tłumy nie miały nic wspólnego z nauką, a ludzie, wiedzy się oddający, jak najstaranniej zamykali podwoje wiedzy przed profanami.

Z pomiędzy wszystkich nauk największą mgłą tajemniczości okrytą była astronomia. I nic dziwnego, bo żadna inna nauka nie porusza silniej, nie dotyka bliżej kwestyi, które właśnie są najdrażliwszemi. W zakres bowiem jej badania wchodzą pytania tego rodzaju jak np: w jaki sposób powstał świat, na którego jednym małym odłamie my, ludzie, mieszkamy? do czego ten świat dąży? co kiedyś z ziemią słońcem, gwiazdami się stanie i jaki jest cel, ku któremu wszechświat nieprzerwanym pędzi biegiem?

Dziś rzeczy się zmieniły i jednem z największych, najświętszych praw człowieka, które sobie zdobył w latach ostatnich, jest swoboda myślenia i badania, swoboda nauki. Już dziś nad nikim nie wisi miecz Damoklesa i nie ma perspektywy topora lub stosu ten, który badaniu prawdy się poświęca. To też dziś wiedza obszernymi strumieniami rozlewa się z pracowni uczonych na całe tłumy, całe społeczeństwa biorą żywy udział w postępach na polu naukowem i każdy z uczonych ma za pierwszy swój obowiązek odkryć światu całemu to, co sam zdobył z tajemnic przyrody, to co zobaczył, odchyliwszy kraj zasłony zakrywającej te tajemnice.

Prąd popularyzowania zdobyczy wiedzy przybrał w naszym wieku kolosalne rozmiary i nie ma już dziś prawie ani jednej gałęzi nauki, ani jednej kwestyi naukowej, któraby nie była podaną publiczności w takiej formie, że ją z najmniejszem przygotowaniem pojąć i objąć można.

I astronomia, ta królowa nauk, wciągnięta została do tego szeregu. Najpotężniejsi badacze nieba, mocarze w tej dziedzinie wiedzy nie wzdragali się poświęcać swego czasu na krzewienie cudownych odkryć na niebie pomiędzy tymi, którzy się nauce specyalnie nie poświęcają. A przedmiot sam jest tak pociągający, światy wypełniające nieskończoność przestrzeni tyle mają uroku tajemniczości, że w żadnej może gałęzi wiedzy nie mamy tyle prac popularnych, ile właśnie w astronomii.

To też biorąc prace klasyczne tego rodzaju za wzór — podajemy czytelnikom naszym kilka obrazków z dalekich światów niebieskich, w mniemaniu, że znajdą tam niejedną rzecz nową i interesującą, w ostatnich dopiero czasach zbadaną, niejeden obraz, który dłużej nad sobą zastanowić się każe i zdoła wzbudzić niejedną myśl pożyteczną.

NA KSIĘŻYCU.

Co się dzieje na naszym najbliższym sąsiedzie?

Mówiono już wiele o roli, którą nasz najbliższy towarzysz w przestrzeniach niebieskich odegrał w poezyi ludu, w literaturze i sztuce. Wielka gwiazda nocna dostarczała przez długie wieki poezyi niewyczerpanego materyału i wiecznie dostarczać go będzie. Cichej, bladej, nigdy niczem niezatrwożonej królowej nocy, oddawały cześć pierwotne narody, poeci śpiewali przy drżących jej promieniach a lud w bezwiednem uwielbieniu wplątał ją do swych podań i pieśni. Na roli estetycznej księżyca w przyrodzie osnuła poezya swe księżycowe epizody, a lud otoczył go legendą pełną uroku.

Te nawpół zapomniane mity ze starych czasów, dziwne opowieści o jego wpływie na życie ludzkie, przyczyniły się znacznie do zwrócenia uwagi astronomów na naszego najbliższego sąsiada na niebie; z całą potężną falangą nowych środków pomocniczych, zwróciła nauka nań swą uwagę i odkryła nam wiele tajemnic, w których się dotąd księżyc ukrywał. Stan jego fizyczny został zbadany z wielką dokładnością, co zresztą przyszło tem łatwiej, że jest on tak bliskim naszej ziemi. Zbadano jego powierzchnię, zmierzono wysokość gór, zdjęto plany wygasłych wulkanów i wogóle nie ma już prawie tajemnic co do jego stanu obecnego.

Przekonano się, że księżyc jest światem zupełnie odrębnym od naszego, który przeszedł przez wszystkie fazy życia i jest umarłym, a przynajmniej bardzo bliskim zgonu.

Jeżeli zestawimy księżyc, w obecnym jego stanie, z naszą ziemią, to fantazyi naszej otworzy się zupełnie nowe pole działania. Nasuwa się nam przedewszystkiem myśl, jak ten nowy świat przedstawiłby się oczom naszym, gdybyśmy jakąś nieznaną mocą zostali na jego powierzchnię przeniesieni. Na podstawie faktów naukowych moglibyśmy sobie wtedy robić najrozmaitsze przypuszczenia, które oprócz zadowolenia naszej fantazyi miałyby jeszcze tę zaletę, że nie byłyby pozbawione podstaw realnych, rzeczywistych.

Otoż opierając się ciągle na tych pewnych podstawach, puśćmy na chwilę wodze naszej fantazyi, i przenieśmy się na jej skrzydłach na powierzchnię naszego towarzysza. Lecz zanim udamy się w tę podróż, zanotujmy sobie jeden fakt, stwierdzony licznemi obserwacyami, który przez cały ciąg naszego opowiadania będzie grał główną i wybitną rolę.

Na księżycu nie ma atmosfery.

Nie będziemy się wdawali w opisy, w jaki sposób doszła nauka astronomii do tego rezultatu — konstatujemy tylko fakt stwierdzony zupełnie przekonywającemi spostrzeżeniami.

Powiedzieliśmy, że nie ma atmosfery; nie trzeba jednak tego rozumieć tak, jakoby księżyc otoczony był zupełną próżnią, jest tam odrobina powietrza, ale tak rozrzadzonego, jak je spotykamy tylko pod kloszem najlepszych naszych pomp pneumatycznych po długiem pompowaniu. Jest to tylko ślad atmosfery.

Otóż przyjąwszy to za pewnik, przenieśmy się myślą na powierzchnię naszego towarzysza. Przypuśćmy, że właśnie w tej chwili połowa jego tarczy jest oświeconą, i że jakaś siła nieznana postawiła nas w części nieoświeconej przez słońce, tuż koło granicy dzielącej ciemną stronę tarczy od jasnej. W tej części księżyca, która jest ciemną, jest noc, w jasnej — dzień. Jesteśmy więc tam w chwili, kiedy dzień ma się zbliżyć dla naszego stanowiska — jesteśmy na schyłku nocy. Zdumione oko nasze zmuszone jest cudownością widoku podnieść się w górę, ku niebu, które się iskrzy gwiazdami z taką siłą, o jakiej na ziemi pojęcia nawet nie mamy. Żadna atmosfera, nasycona parą wodną nie pochłania promieni światła, które w całej swej mocy dochodzą do oka naszego. Widzimy niezliczone mnóstwo jasnych punktów rozsianych na niebie czarnem jak heban. Ani jedna z tych gwiazd nie migoce, wszystkie lśnią spokojnie i jaskrawo. Wiadomo bowiem, że zjawisko migotania gwiazd ma swe źródło w atmosferze, a ponieważ nie ma jej prawie na księżycu, więc nie ma też i migotania. Na całem niebie panuje spokój niewzruszony. Nigdy nawet nie widać przelatującej gwiazdy spadającej, ani jakichkolwiek meteorów. Przyczyną tego braku jest znowu brak atmosfery. Łatwo to sobie wytłumaczyć. Gwiazdy spadające i meteory są to małe ciała niebieskie, ciemne, zupełnie nieświecące, poruszające się z niezmierną szybkością po przestrzeniach międzyświatowych. Nie spotykają one w swej wędrówce żadnej przeszkody w tych przestrzeniach i dopiero gdy uderzą z niezmiernym rozpędem o atmosferę którejkolwiek planety, rozgrzewają się mocno, rozpalają do czerwoności, do białości, zaczynają się ulatniać w parę, i widzimy je wtedy jako ciała świecące, przeszywające ciemne tło nieba. Ponieważ jednak księżyc nie ma okrywy z powietrza, więc ciała te nie napotykają w swym szalonym biegu żadnej przeszkody i ciemne, w cichości dolatują parte siłą ciążenia do skorupy księżycowej, i tam dopiero rozbijają się w proch, lub nawet od silnego uderzenia zamieniają w parę w jednej chwili. Taką więc gwiazdę spadającą można widzieć na księżycu tylko w chwili jej upadnięcia.

Lecz jeślibyśmy tam byli świadkiem takiego zdarzenia, jeśliby taki meteor upadł tuż w naszej bliskości, to zadziwiłoby nas i zdumiała rzecz dziwna. Nie słyszelibyśmy żadnego huku, żadnego trzasku, towarzyszącego starciu się dwóch ciał na naszej ziemi. Cały wypadek odbyłby się w zupełnej cichości. I gdyby nawet niedaleko od nas powstał huk najstraszniejszy, gdyby nawet całe olbrzymie góry się zawaliły, gdyby wybuchał nowy jakiś wulkan tuż koło naszego stanowiska, to wszystko to odbyłoby się bez najmniejszego nawet szelestu. Grobowe milczenie panuje na powierzchni naszego towarzysza. Nadarmo byśmy poruszali ustami i wysilali krtań naszą. Nie wydalibyśmy najmniejszego dźwięku, i niczem nie zdołalibyśmy zakłócić wiecznego spokoju śmierci, który na księżycu panuje.

Przyczyny tego zjawiska szukać także należy w zupełnym prawie braku atmosfery. Znamy bowiem dobrze, co jest istotą głosu. Wiemy, że dźwięk pochodzący od ciała drgającego przenosi się do ucha naszego za pośrednictwem powietrza i każdy z nas pamięta owo najzwyklejsze doświadczenie fizyczne, w którem, pod dzwonem pompy powietrznej umieszcza się dzwonek, którego dźwięków nie słyszymy wcale po wypompowaniu z pod dzwona powietrza.

Brak więc atmosfery skazuje powierzchnię księżyca na wieczną, niczem nie zmąconą ciszę.

(C. d. n.)

Colchicum autumnale.

Wiesz, z kwiatkami gwarzę czasem,
Znam westchnienia ich i słowa.
Patrzę, zmarłym idąc lasem,
Modrzy kwiatem się dąbrowa.

Jasne, bujne się kielichy
Na łodyżkach wiotkich chwieją;
Komu modre ich uśmiechy?
Zkąd, co świeci im nadzieją?

„Góry posrebrzyły szrony,
Wiatr zimowe pędzi mgły;
Niebem bladem twej korony,
Kwiatku, czego szukasz ty?

Słońce zimne już dla dębów;
Drżący z nich opada liść;
Zkąd ci kwiatku do mgły kłębów
Bez odzieży przyszło iść?

Liści próżno szukam wianka, —
Boć nie liśćmi, widzi Bóg,
Ta korzonków czarna tkanka,
Drżąca w ziemi u twych nóg!“

Kwiatek roześmiał się i rzecze:
„Nieświadomyś życia praw;
Wiosna zawsze jest człowiecze
Dla serc waszych, jak dla traw.

Nie to słońce, co tam płonie,
Lecz to, co goreje w nas,
Wiosnę nam zapala w łonie
I ubiera cudem kras.

Skra miłości walczy szrony;
Przyjdź, gdy wiosna stopi lód,
Znajdziesz w miejscu mej korony
Liści i owoców cud.“

Modre to słuchając kwiecie,
Na szron mych spojrzałem lat;
Pomyśliłem, moje dziecię,
Czy to nie nasz biedny kwiat?

W jesień wonny i płomienny,
Z pod lodowych zimy szat
Czy się zbudzi, i promienny
Znajdzie owoc, jak ten kwiat.

Szypka 25/10 1877.

Karol Brzozowski.

ZŁOTY INTERES.

(Urywek z pamiętników Goga).

HUMORESKA

przez

JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

... Nie mogli się wydziwić ludzie, że ja tak prędko puściłem majątek po stryjku; nazywali mnie hulaką, utracyuszem, Bóg wie nie czem! Doskonali sobie, jak matkę kocham! więc już jak komu nie idzie, to sam koniecznie winien temu?

Wszakże wiadomo, że jednemu szydła golą, gdy drugiemu brzytwy nie chcą. Święta prawda! doświadczyłem jej na sobie, bo mnie nic a nic nie szło; na wszystkiem, do czegom się tylko wziął, musiałem stracić; najlepszy na pozór interes wychodził mi na złe.

Naprzykład inni posiadający duże majątki, ubiegają się o dobrych plenipotentów, przepłacają ich! mnie, mój Fertycki, nic nie kosztował; służył mi z własnej chęci, z sympatyi po prostu — złamanego centa mu nie płaciłem, bo byłby nawet nie przyjął... a przecież!...

Nie! są ludzie, do których przywiązaną jest jakaś fatalność.

Albo i to: ile razy wyjeżdżałem do Lwowa, to choć miałem w kieszeni grube pieniądze, zawsze w myśli przeznaczałem sobie na wydatki tyle a tyle, ani centa więcej, postanawiając reszty nie tknąć, i to najszczerzej, jak matkę kocham.

Ale gdzie tam! dobremi chęciami piekło podobno brukowane. Zawsze jakieś licho stanęło mi w drodze, zawsze jakiś gruby wydatek, o którym ani mi się śniło... i, daję najświętsze słowo, możecie mi wierzyć, najregularniej, jak zapisał, w wilię wyjazdu ze Lwowa byłem najkompletniej goły.

Ponieważ mnie Lwów tak grubo kosztował, więc udałem się do głowy po rozum, i nie brałem już z sobą dużo pieniędzy, ale na tem zyskiwałem tylko tyle, że owa wilia zawsze prędzej jakoś przychodziła.

Tak też właśnie się stało onego razu, gdy przyszedłem do posiadania cennego Northendena, ogiera czystej krwi angielskiej.

Jak zwykle w wilię wyjazdu, byłem goły, a że wyrachowałem sobie, iż na opłacenie hotelu, restauracyi, i na drogę, potrzeba mi 200 reniów, więc kochany Fertyś podjął mi się znaleść tę kwotę, rozumie się, bezinteresownie, jak matkę kocham.

Poczciwości! nie upłynęło dwóch godzin, przyleciał zdyszany — i rzekł:

— Niech Franio siada, dorożka jest na dole; pojedziemy do Nazencwajga.

Rzuciłem mu się na szyję, a potem w dorożkę, i pojechaliśmy.

Pan Nazencwajg, zwany poufnie Cwajnosem, przyjął nas w salonach zasłanych kobiercami i zastawionych paradnemi meblami; szczególniej też zauważyłem massę kosztownych cacek w serwantkach i na komodach.

Ponieważ był dzień gorący, znajdował się w bardzo pojedyńczym negliżu, za co mógłby był nas, co prawda, przeprosić; ale nie zrobił tego; wygodniś, po miękkich dywanach stąpał w samych skarpetkach, nie wdziawszy nawet pantofli.

Interes główny skończyliśmy w dwóch słowach:

— Pan chce dwieście reńskich? dobrze, ja panu dam.

— Jakiż procent?

— Procent? zwykły procent! ja się w lichwę nie bawię.

— Jakiż to zwykły procent? — zapytał niedowierzająco.

— Pół od sta na miesiąc... no, co pan chce?

Spojrzałem na Cwajnosa z uwielbieniem, a na Fertyckiego, który mię tu przywiózł, z wdzięcznością. Ten ostatni zrobił giest, mający znaczyć:

— A widzi Franio!

Nie, jak matkę kocham, ludzie nie są tak źli.

Zaczęła się gawędka obojętna, a że Nazencwajg nie siągał jakoś do pugilaresu, szepnąłem Fertysiowi do ucha:

— Dla czegoż on nie daje mi tych dwustu reńskich?

— Nie ma ich w domu — odszepnął mi Fertyś — ale posłał, zaraz mu przyniosą.

Po chwili, p. Nazencwajg, rzekł do mnie:

— Pan lubi konie?

— Naturalnie, bardzo lubię.

— Pójdźmy do stajni, pokażę panu coś.

— Bardzo chętnie — odrzekłem, chociaż byłbym wolał zobaczyć 200 reńskich.

P. Nazencwajg wdział buty, paradny szlafrok, i zeszliśmy na dworzec.

Ze stajni wyszedł miniasty fagas w krótkim szaraczkowym fraczku z białemi guzami.

— Maciej! wyprowadź Northendena — rzekł p. Nazencwaig.

Maciej, wielki rutynista chcąc po formie spełnić rozkaz swojego pana, poszedł naprzód z kubełkiem do studni, przyniósł wody, potem zmaczał szczotkę i zaczął gładzić grzywę i czuprynę, a nawet ogon Northendena.

My tymczasem weszliśmy do stajni obejrzeć inne konie, gdzie znalazł się jakiś nowo przybyły jegomość, który przywitał się jak dobry znajomy i z gospodarzem i z Fertysiem. Nie miałem czasu spytać się, kto to był, ale wyglądał na coś pośredniego pomiędzy wielkim panem a berejterem.

Był widać amatorem koni, bo zaraz zaczął im się przyglądać razem z Fertysiem, który także znał się na tem.

Rozmowie ich przysłuchiwałem się uważnie, bo używali specyalnych wyrażeń:

— Patrz pan, podkład zdaje się, dobry...

— No tak, ale sklepienie nie dokładne.

— Łapy wątłe, ale pazury znakomite.

— Tak, i skrzydła obiecujące...

No, to przecie zaraz widać, że koniarze, jak matkę kocham — pomyślałem sobie.

Wyjechała nawet na plac kwestya wyścigowa.

— Powiedz mi pan — zapytał Fertyś — czy, jeżeli koń był cofnięty, zakład się trzyma?

— W biting-rumie — odrzekł pan czy berejter poważnie — paryowanie unieważnia się w razie cofnięcia, z warunkiem, że koń był postawiony w kondycyi; lecz jeżeli rozmyślnie wyrzucony z gangu, i zawieszony skutkiem zakładu, to w takim razie dżokej-klub rozsądza.

Fertyś rzekł: Aha! najnaturalniej w świecie, co dowodziło, że zrozumiał. Ja, nie mógłbym powiedzieć tego o sobie, ale musiałem przyznać temu panu wściekłą erudycyę.

Wkrótce wyprowadzono Northendena. Pyszny koń!

Kary, bez żadnej odmiany, jak kruk, z szyją wyniosłą, stanąwszy na środku podwórza, podniósł zgrabny łeb do góry, chrapnął, błysnął oczami, i zarżał donośnie. Ślicznie mu z tem było. — Wydał mi się wprawdzie nieco przy chudym, ale przypomniałem sobie, że to przecie angielski koń.

Patrzyłem z uwielbieniem; wszyscyśmy milczeli, nie było co gadać — nawet nie znajomy amator zamknął gębę, tylko gdy stanęli koło mnie, usłyszałem jak szepnął do Fertysia; wart tysiąc reńskich, słowo honoru!

Patrzyliśmy tak z jakie pięć minut; nareszcie Maciej targnął za uzdę i cmoknął zrobiwszy ruch, jakby chciał pokazać nam Northendena w biegu; ale p. Nazencwajg kiwnął ręką obojętnie i rzekł:

— Nie trzeba; wprowadź do stajni.

Rzeczywiście po co było go przeprowadzać, kiedy żaden z nas nie był amatorem na kupno?

Opuściliśmy podwórze w skupieniu ducha; nieznajomy amator pożegnał się i odszedł, a my poszliśmy na górę.

Na schodach, p. Nazencwajg poklepał mię poufale po ramieniu, i rzekł:

— Kup pan odemnie tego konia.

— Pan żartujesz — rzekłem — przecie wiesz, że nie mam pieniędzy.

— Co to szkodzi? ja panu wierzę; odda mi pan za trzy miesiące.

Tak, to co innego, rzekłem w duchu — a miałem to do siebie, że na kredyt gotów byłem brać wszystko, co mi kto dawał. Więc rzekłem:

— A ileż pan chcesz za niego?

— Jak dla pana, spuszczę za 800 reńskich. Dodam panu gotówką 200, i wystawisz mi pan weksel na tysiąc.

Interes jak bursztyn — pomyślałem sobie — słyszałem wyraźnie, jak ten berajter mówił, że wart tysiąc reńskich.

— Zgoda! — rzekłem.

Poczciwy Fertyś zaczął mi odradzać, mówiąc, że mi taki koń nie potrzebny; ale nie dałem mu nawet gadać. Podziękowałem tylko za życzliwość.

. . . .

Nazajutrz wyjechałem ze Lwowa. Maciej przyprowadził na kolej Northendena, pozaplatawszy mu grzywę w czerwone jedwabne wstążeczki. Dostał za to oduzdnego dziesięć reńskich, na które rzucił okiem bardzo obojętnem, jakby mu się więcej należało.

Aż mi się wstyd zrobiło.

Do stacyi, na której wysiadałem, jadąc do domu, było pięć godzin jazdy; ponieważ nie miałem z sobą człowieka, więc całą tę drogę zamiast w wagonie drugiej klasy, do której kupiłem bilet dla siebie i dla Fertysia, odbyłem w brankardzie razem z Northendenem.

Nie powiem, żeby mi tam było wygodnie, ale każde amatorstwo wymaga poświęceń. Poczciwy Fertyś miał zdaje się ochotę zastąpić mnie, bo był także amatorem, ale widząc, że się zapaliłem do konia, nie proponował mi nawet.

Mój Jaśko, który czekał na mnie na stacyi, aż się przeżegnał, gdy zoczył mnie wyłażącego z brankardu jak z kozy, ale jeszcze bardziej gębę otworzył, zobaczywszy Northendena.

— Czy to nasz? — zapytał niedowierzająco wskazując nań palcem.

— Rozumie się, że nasz... zabieraj go.

Obejrzał go okiem znawcy, poskrobał się w głowę, nareszcie rzekł:

— A to didko nam po takim bocianie, do żadnego naszego nie będzie pasował.

Jak matkę kocham, złość mnie porwała na Jaśka, i gdyby nie świadkowie, byłby dostał po łbie; ale poprzestałem na wzruszeniu z politowaniem ramionami, i nauczyłem osła, że ów koń nazywa się nie bocian, tylko Northenden.

Zły humor, jakiego nabawiło mię odezwanie się Jaśka, rozprószył ogólny zachwyt, jaki mój koń wzbudził na stacyi. Kto żył oglądał go i dziwował się.

Uwiązaliśmy go z tyłu u bryki i przybyliśmy do domu w tryumfie.

Wprawdzie przez drogę Jaśko oglądający się co chwila, zauważył, że koń kuleje, ale zamknąłem mu gębę uwagą, że niewygodnie mu było w brankardzie i dla tego trochę napada.

Na drugi dzień rano, jeszcze leżałem w łóżku, gdy wszedł Jaśko.

— Czego chcesz? — zapytałem.

— A to proszę pana, Ortydyn psia noga nie chce nic żryć, musi być nadpalony; wsypałem mu gołego owsa, a on ino łeb zwiesił taj stęka; didko z nim!

— To tak z drogi pewno — zauważyłem.

— Ale i kuleje na dobre. Przejeżdżałem go po dworcu, to ledwo się nie obalił; rządzca powiada, że musi mieć szpat czy coś.

Wołać rządzcy!

Niestety! pokazało się, że obaj z Jaśkiem mieli racyą. Northenden, czyli jak go przechrzcił ten ostatni, Ortydyn miał szpat i nadto, był, że użyję technicznego wyrażenia, o jednej kiszce.

Złapałem się, jak matkę kocham.

Fertyś był tyle delikatny, że nie śmiał się ze mnie, i chciał nawet wmówić, że może się mylimy. Ale przeciwko oczywistości nie było rady; więc na trzeci dzień, gdy miał odjeżdżać, rzekłem doń:

— Wiesz co Fertyś, weź ty tego konia z sobą do Lwowa i postaw go w hotelu; ja przyjadę w tych dniach i sprzedamy go.

Poczciwy, nie robił żadnych trudności, chociaż mu to sprawiało ambaras; ledwie przyjął 25 reńskich, które mu dałem na drogę.

Miałem wyjechać zaraz na drugi albo trzeci dzień; tymczasem wypadło to i owo, tak, że dopiero w cztery czy pięć tygodni mogłem wyruszyć.

Nie wziąłem z sobą wiele gotówki, bo rachowałem na spieniężenie Northendena; ale powiedziane było, że żadne moje wyrachowanie, choćby najracyonalniejsze, psu na budę się nigdy nie zda.

Fertyś umieścił Northendena w pierwszorzędnym hotelu; nie mogłem mieć mu tego za złe, bo czyż mógł przewidzieć, że się tak spóźnię?

Ale tymczasem Northenden opływając we wszystko, kosztował sumy bajońskie; jednego nareszcie ładnego poranku, zjawił się w stajni sekwestrator, i przedstawił koniowi sążnisty rachunek za stajenne, owies, sieczkę, siano, słomę, światło i usługę, wzywając, aby rzeczony rachunek niezwłocznie zapłacił.

Northenden, jak można było przewidzieć, wezwanie przyjął najobojętniej, co sekwestrator wziął za odmówienie zapłaty. Skutkiem tego, innego ładnego poranku wyprowadzono delikwenta przybranego w paradną dekę z moją cyfrą, na targ, gdzie sprzedany został przez licytacyą za sumę 125 złr. 25 ct.

Przybyłem do Lwowa na trzeci dzień po licytacyi i zamiast konia, zastałem akta sprawy przeciwko niemu wytoczonej, oraz resztę z wypłaconych pieniędzy, jaka przypadła po potrąceniu kosztów sądowych, wynoszącą kwotę 49 złr. $19^1/_2$ ct. w. a. Poczciwy Fertyś wyrachował mi się co do centa.

Spodziewałem się, że będzie mi robił wyrzuty, bo bardzo go obchodziły moje interesa, i każdą w nich klęskę przebolał; ale miał tyle taktu, że widząc moje zmartwienie, nie dolewał oliwy do ognia.

. . . .

Straciłem więc całe 800 reńskich, bo to co dostałem za konia, nie pokrywało nawet poprzednich kosztów sprowadzenia go ze Lwowa i odprowadzenia napowrót — ale co gorsza, znalazłem się bez pieniędzy, i skutkiem tego, w przeznaczeniach moich zapisana wilia wyjazdu, nastąpiła zaraz na drugi dzień po przybyciu.

Szczęściem Fertyś wybawił mię z kłopotu, wystarawszy się o pieniądze.

Sposób w jaki je dostał, był jeszcze genialniejszy od wyżej opowiedzianego; ale dowiecie się o tem innym razem, bo to warto posłuchać uważnie...

KORESPONDENCYA Z KRAKOWA.

30. kwietnia.

(Z). I mówią, że jesteśmy biedni, podupadli finansowo, że łatwiej nawet znaleźć cnotę w teatralnej damie, niż pieniądz w naszej kieszeni.

Czysta potwarz! Pieniędzy mamy jak lodu, skrzynie pełne złota, a jakie to w sercach naszych kryją się skarby!

Chcecie dowodów naszego bogactwa? Dobrze!

Panu prezydentowi podwyższyliśmy pensyą na 6000 złr.

Dyrektorowi Towarzystwa zaliczkowego daliśmy dożywotnie „zaufanie i koło 5000 złr. rocznie".

Szczepańskim pożyczamy znaczne kwoty na budowę domów dla klasy roboczej, a potem sami staramy się im o lokatorów z komendy wojskowej i sami płacimy grubo za pomieszkanie w własnym domu.

Na pomnik dla Piusa IX zebraliśmy już 6000 złr.

Kardynałowi złożyliśmy illo tempore 20000 złr.

Budowniczym zabijającym ludzi płacimy po 2500 złr.

Takim o.... jak moralnie zmarły Komar dawaliśmy po 5000 złr. dochodu — cóż dopiero ludziom rozumnym i uczciwym?

Na pomnik dla Straszewskiego wyasygnowaliśmy 4000 złr. ileż więc nas będą kosztowały pomniki Adama, Juliusza, Zygmunta?...

Pożyczyliśmy sobie półtora miliona i nie wiedząc, co z nim robić, złożyliśmy go w depozycie bankowym, płacąc naturalnie podwójny procent: wierzycielom i bankowi.

Sprawy finansowe jedynie nas zajmują, *borby* na tem polu stały się naszym żywiołem.

Przypatrzcie się łaskawie temu, co się dzieje w naszych finansowych instytucyach. Przypatrzcie się i uznajcie wyższość Krakowa nad znihilizowanym, zdemokratyzowanym, ultraradykalnym waszym Lwowem.

Jest ot sobie np. pani Kasa oszczędności, niegdyś wolnego stanu, dziś połączona węzłem miłości małżeńskiej z gminą m. Krakowa. Niewiasta ta zostaje pod opieką „Wielkiego Wydziału", a zarząd swoim majątkiem poleciła dyrekcyi, którą reprezentują p. M. Jawornicki i Ślęk. Ten ostatni czuje jakiś wstręt do „zagranicznych" to jest do przybywających z za komory Michałowice Wstręt ten wspólny wielu *łykom* krakowskim, tłómaczy nam zkąd pochodzi brak sympatyi p. Ślęka do p. Kicińskiego, dyrektora Towarzystwa zaliczkowego. A że jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie, ergo i p. Kiciński nie zapałał wielką miłością do p. Ślęka. Ten brak harmonii duchowej wytworzył wielką nieharmonijność w sferach finansowych naszego miasteczka. Pokazuje się, że duch i finanse w parze chodzić zaczynają.

Szlachetny „Czas" na ostatniej stronie swej bibulastej wielkości pomieszcza niejednokrotnie wielce zajmujące, a co główna poważne, treściwe i ciekawe artykuły. Redakcyą ich zajmuje się p. Müldner, jedyny współpracownik dostojnego organu, redagujący część sobie powierzoną bezstronnie i pożytecznie. W części tej w lipcu czy sierpniu r. z. a więc w czasie kanikuły, pojawiła się uprzejma prośba adresowana do dyrekcyi Tow. zaliczkowego o wyjaśnienie kilku pozycyi rachunkowych w ostatniem sprawozdaniu. Znana z grzeczności Dyrekcya uczyniła zadość życzeniom ciekawych, czem ich jeszcze więcej rozciekawiła i nowe wywołała zapytania. Ciekawość widocznie jest zaraźliwą, oprzeć się jej nie zdołała sama dyrekcya, a domyśliwszy się źródła zapytywań postanowiła zbadać stan interesów „panów ciekawskich".

Po tym prologu nastąpiła akcya. Pewnego pięknego poranku p. Mendelsburg, przewodniczący komisyi kontrolującej Kasy oszczędności, otrzymał zawiadomienie o pewnych niedokładnościach w rachunkach przedstawianych przez Dyrekcyą. Zawiadomienie wykazywało straty na procentach, na wypłatach przewyższających sumy składane do kasy, na sprzedaży jakichś brylantów i td. Polecono osobnej komisyi skontro kasy i książek rachunkowych, rezultatem czego było obszerne sprawozdanie, na mocy którego komisya kontrolująca żądała od „Wielkiego Wydziału" zaprowadzenia stanowczych zmian w organizacyi instytucyi i usunięcia winnych od obowiązków. „Wielki Wydział" polecił jeszcze raz zbadanie tej sprawy komisyi lustracyjnej, a to za pomocą przejrzenia

ksiąg oraz przesłuchania interesowanych i wtajemniczonych.

Tymczasem pokątna agitacya użyła pejsatego narodu do przeprowadzenia swego celu, to jest do zachwiania bytu instytucyi. Rozpowiadano o wielkich nadużyciach Dyrekcyi, o krytycznem położeniu finansowem instytucyi, o bliskiem jej bankructwie. Uboga a nieświadoma klasa robotnicza rzuciła się do odbierania wkładek, intelligencya ruszyła także. Około kasy panował gwar i tumult niesłychany. Żydzi od niemogących się docisnąć nabywali po zniżonej cenie książeczki wkładkowe. Plakatami zażegnywano trwogę, do banków udawano się o pomoc pieniężną, geszefciarzy aresztowano.

Wreszcie burza umilkła. Dr. Zyblikiewicz odetchnął. „Co ja miałem kłopotu z tą kasą — mówił — chwała Bogu, że się temu głowę urwało. A teraz niech się dzieje co chce. Ślęk mnie babrze w dyable, mam go może bronić?“ Niepocieszonym został jedynie Dr. Warszauer wieczysty kandydat na posła sejmowego. „Ani ja tam nie byłem, ani mój przyjaciel Rapaport, ani Baruch, a oni piszą i mówią, że żydzi geszeft robili, że żydów aresztowano?“

I rzeczywiście, jak powiedział p. Zyblikiewicz, „dzieje się co chce“. W styczniu komisya skontrująca złożyła sprawozdanie, które wypracował i następnie ogłosił drukiem Dr. M. Bochenek. Według sprawozdania straty niepokryte wynoszą przeszło 6000 złr. Przeciw temu sprawozdaniu wyszła gruba broszura pana K. A., (który nie nazywa się ani K. ani A.), wykazująca błędy popełnione w sprawozdaniu i zarzucająca jego autorowi wszelkie możebne przymioty nieuczciwego sprawozdawcy; według niej pan Ślęk nie dopuścił się żadnych nieporządków, owszem zarobił dwieście kilkadziesiąt złr. P. Bochenek i pan nie K. A. biegli są w rachunkach, kto więc z nich walczy w imieniu prawdy, mogą osądzić tylko kompetentni i najbliżej interesowani, powinien zaś przedewszystkiem osądzić „Wielki Wydział“ i raz już zakończyć tę smutną sprawę.

Albo p. Ślęk winien — niech więc ustąpi, albo nie winien — niech więc publicznie danem będzie Dyrekcyi absolutorium. Status quo kompromituje instytucyę, bo albo „Wielki Wydział“ pobłaża karygodnym wykroczeniom, albo też nie ma dość siły i woli, aby obronić Dyrekcyą od ubliżających jej podejrzeń. Ale „niech się dzieje, co chce“ — to nasza krakowska zasada.

Rzecz prosta, że Towarzystwu zaliczkowemu „wczasu zażywać“ nie dano. Na tamtym świecie w oddziale finansowym p. Kiciński zajmie z pewnością zaszczytne miejsce na ławie męczenników idei zaliczkowej. Zajście z panem N. byłym kontrolorem Towarzystwa, wywołało burzę. Rada nadzorcza przez dwa miesiące przeprowadzała skontro stanu finansowego Towarzystwa, aż wreszcie niewyspana i zmęczona zwołała doroczne walne zebranie członków na dzień 30sty kwietnia. Ze sprawozdania odczytanego na tem zebraniu okazało się, że obrót roczny kasowy wynosił 1.485.562 złr., zysk zaś czysty 7972 złr. Członków ubyło 553, pozostało z końcem roku 1493 z udziałem 171.866 złr. Rada nadzorcza uznała sumę przeszło 4000 złr. za przepadłą, gdyż wierzyciele są niewypłacalni, a przeszło 1000 złr. wpisała jako dubiosa. Po uchwaleniu tantjemy w stosunku 5% od wkładek członków, uchwaliło zebranie przyłączyć sumę 399 złr. do funduszu rezerwowego, który w takim razie wynosi 16108 złr. Nastąpiła kwestya najdrażliwsza, Rada nadzorcza zażądała zmiany statutu. Dla czego? nie powiedziała otwarcie, bo przewodniczący p. Weigel w imieniu Rady oświadczył się za dyskrecyą, za „nieprzesądzaniem faktów, które śledzi z urzędu c. k. Prokuratorya“. Treścią wniosku rady było powiększenie składu zarządu o dwóch co trzy lata wybieranych dyrektorów, a to ażeby „usunąć pewne niedogodności wypływające z obciążania zbyt wielką odpowiedzialnością jednego człowieka“, jako też „dla uniknienia pewnej arbitralności“ i td. Na zrobioną bardzo słuszną uwagę, że zarząd ma tak mało pracy, że mianowanie dwóch dyrektorów będzie tylko podwyższeniem wydatków, odpowiedziano z góry, że dyrektor stały będzie miał umniejszoną pensyą i tantyemę, ztąd znajdzie się odpowiedni fundusz na wynagrodzenie dwóch dyrektorów. Dlaczegóż dyrektorowi stałemu umniejszać pensyą? Bo, bo... jękał pan Besznak (Węgier, jak Andrassego kocham)... bo i dawniej tak bywało nawet w urzędach, że jak kto przewinił, to mu odejmowano część pensyi... i td. i t. d. Nareszcie wyszła oliwa na wierzch, pan dyrektor przewinił i Rada nadzorcza starym kiepskim zwyczajem pragnie mu pogrozić. Kiedy bęben jest niegrzeczny, to mu matka nie daje obiadu. To rzecz słuszna i całkiem naturalna. Bęben się wybeczy, ale i poprawi z lekkiego błędu. Inna sprawa z dyrektorem finansowej instytucyi. Jeżeli wina jego jest wielką, powstałą ze złej woli lub niezdatności — wypada go pożegnać; jeżeli wina zaś nie jest ciężką, jeżeli powstała z nadmiaru pracy, chwilowego niedopatrzenia, złych informacyi — toć najpiękniej przebaczyć. Rada nie powinna być tą mamą co przemawia do owocu swojej miłości: cicho błaźnie, bo nie pójdziesz na spacer. Ani też p. Kiciński nie jest owocem miłości Rady, bo początkiem był jak wiadomo w towarzystwie ubezpieczeń, a na świat wychylił dyrektorską głowę za własną inicyatywą. On tu właściwie jest matką, bo sam, można powiedzieć, stworzył Towarzystwo. Mimo to wniosek Rady utrzymał się i my biedni członkowie nie wiemy, czy dyrektor nas skrzywdził, czy też myśmy go skrzywdzili, boć jedno z dwojga być musi. Z walnego zebrania trzeba jeszcze zanotować dość humorystyczną polemikę między panem Wołowskim a Drem Cseszn akiem, któremu pierwszy zarzucał mistrzowstwo w naznaczaniu kosztów sądowych. Że jednak p. W. dość słabo językiem włada a p. Faustyn Jakubowski aż za dobrze, ergo p. Cesznak zawdzięcza panu Faustynowi, że go żywcem nie spalono. Krążył niegdyś złośliwy dowcip, że Moskale przy zawieraniu pokoju w San-Stefano telegrafowali po Dra Cseszn aka jako specyalistę w kosztach sądowych — i tego dowcipu odgłosem było zajście na posiedzeniu.

Gdybym chciał was dalej karmić finansami, miałbym sporo materyału, ale pomnąc, że varietas delectat, na zakończenie małe zapytanie.

A więc panie Matejko! proszę!

Wytłómacz mi pan z łaski swojej dla czego pozbawiłeś naszą publiczność oglądania „Gamrata“. Namalowałeś go pysznie. Dałeś za tło zamek królewski. Nocą w wesołym orszaku wraca wesoły ksiądz prymas w gronie pięknej damy i rozkosznej o zapruszonej głowie czeredy. Biskup lubił wino i ponętne kobietki, choć jeszcze wówczas „obrzydły Offenbach nie tryumfował na tronie rozpusty“. Jakże urocza ta kobietka, co ją niosą w kolebce, a jaki flut ten błazen, co ci w ucho prawi zapewne kazanie na temat „dobrego przykładu“. Światło księżyca miesza się ze światłem pochodni. Całość znakomita. Czemuż mistrzu obrazu tego nikomu obejrzeć nie dałeś? Czyś może bał się, aby ks. Gałecki nie wziął go za przymówkę do siebie. Ależ biskup z Amatei jest in partibus infidelium, a więc i sam jako infidelis żyć musi i nikt mu tego za złe nie bierze (czytaj ostatni Przegląd lwowski, korespondencyą z Wiednia).

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 9. maja.

(W.) Ostatni zwrot w wielkiej polityce c. k. austryacko-węgierskiej, skierował się widocznie na drogę humanitarnego szupaśnictwa. Dawniej gdy wydalano emigrantów np. Polaków z Galicyi, odstawiano ich tylko do granicy kosztem państwa, a oddawszy w ręce Moskali, dawano krzyżyk na drogę. Dziś rzecz się ma inaczej: marnotrawnych synów tureckich, zwanych Bośniakami, odprowadzimy aż na miejsce, z obawy aby panowie Turcy, którzy nigdy historyi o synu marnotrawnym nie słyszeli — nie przyjęli ich narodową bastonadą.

Na takie pojmowanie obowiązków ludzkości i honoru państwowego tylko przyklasnąć możemy, pokazuje się bowiem, że chrześciańskie uczucia ludzkości przychodzą znów do równowagi z sumieniem, i że nie dosyć zaprowadzić zbłąkanych do domu, ale trzeba im dać opiekę, żeby ich za zbiegostwo rózgami nie obito.

Jakie to nieszczęście, że takie pojęcia humanitarne dopiero teraz zaświtały na horyzoncie austryackim, i że emigranci nasi z roku 1863 nie nazywali się Bośniakami? Byliby dostali wsparcie, opiekę, i w końcu doczekali się odprowadzenia do Warszawy. Wprawdzie emigranci nasi z Kongresówki nie mogą stanąć pod względem wartości moralnej na równi z pasterzami bośniackimi, Polacy mają poprzewracane głowy jakimś patryotyzmem swoim i chcą Bóg wie czego, naprzykład ojczyzny, gdy przeciwnie dobroduszni Bośniacy poprzestają na kawałku chleba i koziem mleku, a jeżeli się zbuntowali przeciw Turkom, to nie dla tego, żeby chcieli jakiejś bośniackiej ojczyzny — tylko żeby ocalić głowy przed turecką natarczywością.

Lecz skoro zasada odprowadzań weszła w krew i życie zasad politycznych europejskich, mamy nadzieję będzie ona równomiernie wszystkim emigrantom wymierzana, a co się tyczy Polaków, to nawet najświeższy wypadek z Kaliszem staje się doskonałym precedensem do zastosowania natury szupaśnictwa. Wystawcie sobie, tego pana Kalisza, człowieka najzdrowszego, podług zapewnienia lekarza Slavika, kazał sąd Nowego Sącza oddać Moskalom. Dotąd dobrze wszystko, bo i Bośniaków oddaje się Turkom, ale że to oddanie przypadło jeszcze przed rozbudzeniem uczuć humanitarnej opieki nad przyszłością emigrantów, więc odprowadzono go tylko do granicy, zdawszy w chrześciańskie ręce cesarsko-królewskiej żandarmeryi moskiewskiej. I cóż z tego wynikło, oto p. Kalisz umarł w drodze, a że był zdrów jak ryba i tylko podług pana dr. Slavika udawał chorego, więc oczywista rzecz zamęczyli go Moskale — ztąd konsekwencya, że Moskale nie są lepsi od Turków, i że jak przyjdzie oddawać więcej emigrantów Moskalom, wypadnie tak jak Bośniaków odprowadzić ich do Warszawy na rachunek owych sześćdziesięciu milionów, zawotowanych na pogotowość wojenną. Trudno, jeżeli pan Kalisz padł ofiarą zasady, to za to zasada sama musi zatryumfować, boć przecie i Polacy, choć nie są pasterzami bośniackimi, ale to zawsze ludzie, którym się humanitarna opieka należy, mimo przewrócenia głowy ojczyzną.

Widocznie, że w tych czasach zawiał jakiś wiatr wydalania w całej Austryi, a że my Galicyanie, pod względem zgadywania myśli rządu, jesteśmy pulsem monarchii, więc i koło polskie w Wiedniu tą samą drogą co i Kalisza sąd Nowo-Sądecki wyprawiło za swoją granicę posła Wolskiego. Cały Lwów, jest oburzony, bo gdzież ten biedny ich reprezentant przytuli teraz swoją poselską głowę? Spodziewamy się, że przyjdzie do nas na skargę z żądaniem zbudowania mu złotego mostu do odwrotu, tak, powinien to zrobić, jeżeli Szuwałow taki sam złoty most angielski wiezie do Petersburga dla Moskali. Raz przecie ta niepewność się skończy, a Europa jednocześnie odetchnie rozebrawszy na kongresie traktat San-Stefański i program Koła polskiego.

Mamy mieć podobno jeszcze jedno wydalenie ze Lwowa, wielce niebezpiecznej (?) osobistości dla spokoju państwowego, z którą odnośne władze z kodeksem w ręku z policyą i innemi dotyczącemi organami publicznego porządku rady sobie dać nie mogą. To nie to, co Stanisławiacy w mundurach; tych policya nasza w największym porządku odprowadziła w dniu 3go maja z dworca kolei do miasta; wszelkim harmoniom zatkała delikatnie usta, sztandar kazała schować, i cicho sza...

*

Mimo to po południu trzeciego maja zgromadziła się masa narodu na Wysokim Zamku, rozwinięto sztandar biało-czerwony, obie harmonie odzyskały głos właściwy i zaczęto sypać kopiec Unii. Szczęście, że to sypanie miało miejsce z piasku, zatem nie mogło wywrzeć żadnego złego wpływu na bezpieczeństwo publiczne, dla tego więc i c. k. policya do tej roboty wcale się nie mięszała. Nam się zdaje, że i ta osobistość kwalifikująca się do wydalenia ze Lwowa nic przecie szkodliwszego nie robi, i że objaśnione o tem Ministeryum i nadal tej pracy niewinnej dla ck. Rządu we Lwowie mu nie odmówi. Wieczorem tego dnia odbyło się prywatne zebranie w hotelu Żorża, na którem ciasna przyjacielska pogawędka ze śpiewem i muzyką, wśród tropikalnego gorąca, urozmaiciła gościom Stanisławowskim wieczorek.

Dnia 4go maja jako w dzień św. Floryana patrona do gaszenia mlekiem wszelkich pożarów, pod którego opieką cały Kraków zostaje, Straż ogniowa tutejsza i stanisławowska odbyły nabożeństwo wspólne, a potem skromny obiadek na strzelnicy miejskiej wśród huku moździerzy, którym towarzystwo strzeleckie rozpoczęło swój sezon strzelania w tym roku.

Otóż w ten sposób z dodaniem jeszcze małej illuminacyi 3. maja, poczciwy Lwów zapełnił sobie jako tako tydzień ubiegły: pogoda sprzyjała piękna, i nadobne Lwowianki miały odpowiednią sposobność pokazania swych wiosennych twarzyczek jak równie i modnych a trochę za spiczastych kapeluszy letnich.

Stowarzyszenie „Gwiazda“ również w tym tygodniu obchodziło dziesięcioletnią rocznicę swego istnienia. Na innem miejscu dowiedzą się czytelnicy o rezultatach użytecznej działalności tego rozwijającego się stowarzyszenia młodzieży rękodzielniczej, my tylko zaznaczymy, że uroczystość ta odbyła się bardzo poważnie, zaszczycona obecnością reprezentantów Towarzystwa rolniczego, Towarzystwa pedagogicznego, Magistratu i innych poważnych osób, ktorych rozwój ducha młodzieży rzemieślniczej serdecznie obchodzi. Przemawiali stosownie do okoliczności pp. Darowski, kurator T. Romanowicz, Sawczyński, i inni, a wszyscy jednozgodnie podnosili potrzebę nauki i pracy, które jedynie prowadzą przez oświatę do wolności. Zauważano jednak przy tej sposobności, że starsza część rękodzielników lwowskich, to jest panowie majstrowie, do tego stopnia już przejęła się lojalizmem c. k. austryackim, że z obawy aby im to za złe nie poczytano, nie pokazali się na zebraniu. Z czterystu wezwanych, stawiło się trzech — zastęp co prawda nie wielki wobec kontyngensu ze Stanisławowa, ale bo też pan Bóg nie jednakowo wszystkie miasta obdarzył światłem oświecającem głowy obywatelskie o ich obowiązkach społecznych. We Lwowie od niejakiego czasu zaczyna brakować oleju i słysząc skargi o tegorocznym nieurodzaju rzepaku nie spodziewamy się, aby tak prędko ten oświetlający patryotyzm nasz materyał, dostał się do głów majstrów tutejszych.

Za to śpiewający i muzykalny Lwów nie ma co narzekać. Dyrekcya teatrów bierze na prawdziwy fis publiczność lwowską, dając jej codzień jakieś nowalijki artystyczne, od których najobojętniejszy smak uchylić się nie może. Mimo podwyższonych cen, teatr bywa zapełniony. Ale bo też pani Artôt-Padilla, pan Padilla, pan Miller, panna Gabbi, panna Grossi, Cyrulik Sewilski, Aida, Traviata, a wreszcie w dziale dramatycznym panna Deryng ciągną za obie poły do teatru. Żeby tak było dłużej, Dyrekcya nie potrzebowałaby dawać wakacyi artystom, a cały Lwów rozlałby się w tonach zachwycającego śpiewu, tej boskiej melodyi, nad której określeniem codziennie smarzą sobie mózgi po dziennikach sprawozdawcy teatralni.

Cały słownik zachwytu wyczerpany, wszystkie wyrażenia krytycznych pochwał zużytkowane, i jeżeli Akademia krakowska nie wynajdzie nowych słów na tego rodzaju recenzye, a pani Padilla do niedzieli nie wyjedzie ze Lwowa, nastąpi prawdziwy krach reporterów teatralnych, i zaczną się zjadać sami między sobą, co nie będzie ani pierwszym ani ostatnim wypadkiem na polu krytycznych ewolucyi we Lwowie.

* * *

STOWARZYSZENIE RĘKODZIELNIKÓW „GWIAZDA.“

Lwów dnia 6. maja.

Wczoraj obchodziło dziesiątą rocznicę założenia jedno z najpożyteczniejszych stowarzyszeń, jakiemi miasto nasze poszczycić się może— mianowicie stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej ku wspólnej nauce i rozrywce pod nazwą „Gwiazda,“ połączone z instytucyą wzajemnej pomocy rękodzielników.

W innem miejscu podajemy opis samejże uroczystości, tu zaś wymienimy tylko piękne rezultaty, do jakich doszło to stowarzyszenie w pierwszym dziesięcioletnim okresie swojego istnienia.

Celem stowarzyszenia „Gwiazda“ jest, szerzyć w klasie rękodzielników polskich za pośrednictwem młodzieży oświatę, ogładę towarzyską i zdrowe zasady społeczne. Uszlachetniające umysł rozrywki towarzyskie, nauka i wdrażanie członków do oszczędności służą za środki do dopięcia powyższych celów; uczciwe, szczere koleżeństwo, tudzież czynna pomoc wzajemna stanowią fundament stowarzyszenia.

Dzięki pomocy szlachetnych ludzi i własnej wytrwałości członków, posiada obecnie stow. „Gwiazda“ piękny dom własny, z dużą salą do zebrań towarzyskich, z kompletnem urządzeniem do amatorskich przedstawień teatralnych, biblioteką, czytelnią gazet, dwoma kręgielniami (otwartą i krytą) dwoma bilarami i t. d., oświetloną gazem, z inwentarzem mebli i urządzeń w łącznej wartości 31.500 zł. w. a.

Dla użytku członków, którzy chcą z tego korzystać, utrzymuje „Gwiazda“ nauczycieli początkowych nauk szkolnych, stylistyki polskiej, rachunkowości kupieckiej, języków polskiego i francuskiego, rysunków, śpiewu i tańców. Odbywają się też regularnie wykłady nauki religii, a oprócz tego od czasu do czasu prelekcye z dziejów Polski i z dziedziny rozmaitych innych gałęzi wiedzy. Zawsze też stara się zarząd „Gwiazdy“ o najlepszych nauczycieli, i tak n. p. pobierają naukę rysunków członkowie tego stowarzyszenia w miejskiem muzeum przemysłowem; nauka śpiewu tak dalece prosperuje, że posiada „Gwiazda“ solistów i chóry dostateczne do przedstawień oper, jak n. p. „Krakowiaków i Górali“ i t. p.

Czytanie, gra w bilar, kręgle, szachy, warcaby, domino i loteryjka stanowią zabawę członków „Gwiazdy“; karty stanowczo są wyrugowane regulaminem. W ciągu ostatniego roku odbyło się 15 przedstawień amatorskich, cztery zabawy z tańcami, kilka festynów ogrodowych i wycieczek.

Gdy chodzi o uczczenie pamiątek narodowych, albo zasłużonych ojczyźnie osób, tam „Gwiazda“ zawsze jest pierwszą; do grona jej członków honorowych liczą się pomiędzy innymi J. I. Kraszewski, Karol Brzozowski i inni znakomici mężowie; należał do nich także ś. p. Karol Libelt i Seweryn Goszczyński.

Z funduszu zaliczkowego, złożonego kilkunastocentowemi wkładkami tygodniowemi, znajduje się obecnie pomiędzy członkami na pożyczkach przeszło 11.000 złr., fundusz szpitalny miał w ostatnim roku 5.441 złr. przychodu; fundusz inwalidów wdów i sierot 15.075 złr.; ogólny obrot kasowy wszystkich funduszów doszedł w r. 1877 blisko do 70.000 złr. w. a.

Członkowie towarzystwa mają zapewnioną opiekę lekarską w słabości, leki za pół ceny, w razie potrzeby umieszczenie w szpitalu, rekonwalescenci pobierają zapomogi tak długo, dokąd nie przyjdą do sił, ażeby mogli sami zarabiać. Gdy któremu żona albo dzieci zasłabną, także ma pomoc wszelką ze stowarzyszenia. W ostatnim roku administracyjnym wydano z funduszu szpitalnego 3.747 złr. na zapomogi. Sprawiono przyzwoite pogrzeby 19 członkom zmarłym i 8 żonom członków, co roku odbywa się też uroczyste nabożeństwo żałobne dla uczczenia pamięci zmarłych członków. Inwalidzi, tudzież wdowy i sieroty mają zapewnione zapomogi, których suma już teraz przechodzi 2.000 złr. rocznie.

Oto do jakich wyników praktycznych doszło to szlachetne stowarzyszenie w przeciągu 10 letniego istnienia swojego – przyczem jeszcze nadmienić wypada, że za przykładem Lwowa, pozawiązywała młodzież rękodzielnicza podobne towarzystwa także i w innych miastach kraju, mianowicie: w Krakowie, Tarnowie, Jarosławiu, Przemyślu, Tarnopolu, Stanisławowie i w Stryju.

Cześć przeto, dobrze zasłużona cześć założycielom i kierownikom „Gwiazdy“ lwowskiej! Oby ich poczciwe dzieło ciągle tak pomyślnie jak dotychczas rozwijało się i rozkwitało dla pożytku narodu! Wierne swojemu zadaniu niechaj te stowarzyszenia nie przestaną być nigdy ogniskami cnót towarzyskich, uobyczajenia, zamiłowania nauki i postępu, jakoteż szkołą patryotyzmu dla rękodzielników naszych! *M.*

KRONIKA PRZYRODNICZA I PRZEMYSŁOWA.

Jeśli teraz gdziekolwiek mowa o wojnie morskiej, o minach, o kopalniach, o budowie tunelów, to co krok się spotyka ze słowami, *nitrogliceryna, dynamit, dualin* i t. p. obecnie powszechnie już znanemi, a które jednak od bardzo niedawnego czasu weszły w praktyczne życie i stały się codzienną niemal potrzebą. Potężna siła wybuchowa tych materyałów zrządziła to, iż w wielu wypadkach, gdzie dawniej używano prochu albo bawełny strzelniczej, dziś w tym samym celu używają tych nowych środków wybuchowych, których daleko mniejsza ilość równe skutki sprowadza. Dziś we wszystkich budujących się tunelach słychać trzask pękających nabojów dynamitowych rozsadzających kamienne ściany — torpedy broniące brzegów, lub też napadające okręty nieprzyjacielskie, niosą z sobą olbrzymie ładunki tej straszliwej mięszaniny. Gdyby nie dynamit, to niektóre wielkie

prace inżynierskie nie mogłyby być wcale wykonane, a przynajmniej potrzebowałyby bez porównania dłuższego czasu na wykończenie. Przypomnijmy tylko sobie wysadzenie w powietrze skał podwodnych t. z. *Hell Gate* pod Nowym Yorkiem, gdzie dla złamania skał na kawały, zapalono odrazu 50,000 funtów dynamitu. Ileż by na to trzeba było prochu i o ileby więcej pracy zmarnowano.

Nitrogliceryna, która jest zasadniczą częścią wszystkich prawie nowszych materyi wybuchowych, jest to płyn mający postać oleju, cięższy od wody, którego fabrykacya jest nad wszelkie spodziewanie łatwą, chociaż równie niebezpieczną. Zasadniczą częścią tej materyi wybuchowej jest gliceryna, ten słodkawy, gęsty płyn, którego nasze panie używają w celach kosmetycznych. Strumień tej gliceryny wlewa się do płynu składającego się z mięszaniny z kwasu azotowego i kwasu siarkowego. Gliceryna zmienia się bardzo szybko chemicznie i pod działaniem tych obu kwasów nabiera własności wybuchających, staje się nitrogliceryną. Oddziela się ją potem ostrożnie od kwasów, przemywa się w zimnej wodzie i jest już wtedy zupełnie gotowa do użytku.

Ze wszystkich wybuchających materyi nitrogliceryna posiada moc największą. Jej siła wybuchowa (której zresztą bardzo dokładnie zmierzyć nie można) ma być dziesięć razy większą od siły prochu.

Jednak używanie czystej nitrogliceryny jest niezmiernie niebezpiecznem, gdyż ma ona tę nieszczęśliwą własność, że słabe nawet nieraz wstrząśnienie jest zdolnem spowodować wybuch całej masy. Wielokrotnie się powtarzające smutne wypadki są tego wymownym dowodem. To też transport nitrogliceryny musi się odbywać z niezmierną ostrożnością, i jak się przekonano, najlepiej jest trzymać ją wtedy w stanie zamrożonym, w którym najmniej jest skorą do wybuchu.

Dynamit robi się z nitrogliceryny, mięsza się ją z piaskiem, popiołem, albo innemi ciałami, w które wsiąka stając się w ten sposób łatwiejszą do przenoszenia i do użytkowania. Siła wybuchowa dynamitu jest o bardzo nie wiele słabszą od czystej nitrogliceryny i dynamit jest obecnie w najpowszechniejszem używaniu. Wyrabia się go rocznie około dziesięciu tysięcy kilogramów.

Inne substancye wybuchające, jak np. *dualin* mają tę samą nitroglicerynę za podstawę, w połączeniu z rozmaitemi ciałami, które czyni jej używanie wygodniejszem.

Wszystkie te mięszaniny posiadają tę dziwną własność, że z trudnością wybuchają od zwykłego zapalenia. Dopiero gdy ich wybuch sprowadzi się innym wybuchem, jak np. eksplozyą pistonu, to wtedy rozkładają się raptownie i z całą gwałtownością wywiązują olbrzymią ilość gazów. W płynnej nitroglicerynie można zagasić, bez żadnej prawie obawy, palącą się zapałkę, lecz jeżeli obok spowoduje się jakiś mały lecz gwałtowny wybuch, np. zapali się trochę mięszaniny w zwykłych pistonach używanej, to przez wstrząśnienie cała masa nitrogliceryny wybuchnie z straszną siłą.

Na tej zasadzie oparto metodę niszczenia nieprzyjacielskich torpedów, umieszczonych pod wodą i czyhających na okręta. Przekonano się albowiem, że jeżeli nastąpi pod wodą wybuch kilkudziesięciu funtów dynamitu, to w kilkusetstopowem promieniu do koła, wszystkie torpedy, dynamitem napełnione, wybuchają od wstrząśnienia wody.

Jest to nowy sposób *kontrtorpedowania*, jeśli się tak wyrazić można przez analogią z kontrminowaniem.

Kwestya *samorództwa*, o której stanie obecnym zdawaliśmy już kilkakrotnie sprawę w naszych kronikach, aż do tej chwili nie jest stanowczo rozstrzygniętą, i jak się zdaje, przez bardzo jeszcze długi czas rozstrzygniętą nie będzie. Ożywiony spór o to, czy mogą powstawać żyjące organizmy z płynów nieożywionych, bez udziału żadnych zarodków, toczył się przez rok cały z ogromną zaciętością i ostatecznie nie doprowadził do rozwiązania tajemniczej zagadki.

Najznakomitsi uczeni naszego czasu stanęli do walki i najliczniejsza ich część broniła dawnej zasady powiadającej: *omne vivum ex ovo*. Pasteur i Tyndall wysilali całą potęgę swej wiedzy na zbicie twierdzenia dra Bastiana.

Ostatecznie rzecz na tem stanęła, że przekonano tych, którzy twierdzili, iż mają dowody istnienia samorództwa, że te dowody nie są ścisłemi. Jednak czy samorództwo istnieje lub nie, tego nie rozstrzygnięto.

Trudno sobie wyobrazić do jakiego rozdrażnienia doszli zapaśnicy, biorący udział w tej walce naukowej. Nietylko specyalne czasopismo, lecz nawet i dzienniki były areną tych sporów przez rok cały.

Z tego wszystkiego skorzystano tyle, że kwestya została zepchniętą na właściwe stanowisko, i że przekonano się o tej prawdzie, że przyroda nie tak łatwo odkrywa swoje najgłębsze tajemnice, tajniki życia, że trzeba ogromnej cierpliwości, niezmordowanej pracy, niezliczonych doświadczeń, żeby w tym kierunku zrobić jeden krok naprzód.

Życie jest dziwną zagadką! Czem ono jest w istocie? Gdzie się ono poczyna? Jak ono wchodzi do niezorganizowanej materyi, to są zagadki, które może na zawsze zostaną nierozwiązanemi.

Przypatrzmy się najniższym żyjącym istotom, tak zwanym Amoebom. Widzimy pod mikroskopem kawałek białej, przeźroczystej, galaretowatej massy, zwanej protoplazmą, która jest tak przezroczystą, że nie znać w niej najmniejszego organu, najmniejszej, wyróżniającej się od innych części. A jednak ten kawałek bezkształtnej galarety, posiada własną siłę ruchu, karmi się, rozmnaża się, nie posiadając do tego żadnego specyalnego organu.

Co powoduje, że inny kawałek protoplazmy, również bezkształtnej i również przeźroczystej — nie żyje wcale?

Są to zagadki, na których rozwiązanie długi jeszcze czas przyjdzie czekać.

TEATR.

(Benefis p. Zimajer. Dalsze występy panny Deryng: Debora i śluby panieńskie. Pani Artot. Benefis panny Marco).

Pani Zimajer obdarzyła nas na swój benefis „Aniołem opiekuńczym", komedyą w 3 aktach, przerobioną przez samą beneficyantkę, ale z czego? o tem nas afisz nie uwiadomił. Pytanie to jednak dręczyć nas nie będzie, tem bardziej, że tajemnica w tej ... że nie przyniosła uszczerbku autorowi oryginalnego „Anioła opiekuńczego". Żeby opowiedzieć treść tej sztuki, trzebaby się nauczyć jej na pamięć, czego zwyczajny człowiek przy jednem przedstawieniu nie dokaże, czego też i ja nie mogłem dokazać. Wskutek tego czytelnik pozbawiony będzie streszczenia intrygi bardzo zajmującej, ale tak zawiłej, że w końcu sztuki nikt z widzów nie wie dobrze, o co chodzi. Na poparcie tego twierdzenia przytaczam fakt, że kiedy obecny na tem przedstawieniu Francuz, nie znający języka polskiego, prosił swej żony, Polki, aby mu wytłumaczyła intrygę komedyi, to żona musiała powiedzieć mężowi, iż tyle rozumie, co i on. Co się mnie tyczy, to wiem, że była jakaś bransoleta, czy brosza, około której wszystko krążyło, a która z rąk do rąk przechodziła, wiem także, że pani Zimajer była bardzo miłem i naiwnem dziewczątkiem, które postanowiło zostać opiekuńczym aniołem swej rodziny epidemicznie cierpiącej na bransoletę, że zebrała moc bukietów i oklasków (jeżeli zbieranie oklasków nie jest zbyt śmiałą, choć nie nową metaforą), i że miała sposobność przekonać się, jakimi względami cieszy się u lwowskiej publiczności, która jej nie jeden, ale dwa nawet takie opiekuńcze anioły gotowa chętnie przebaczyć.

Z dalszych występów panny Deryng mamy do zanotowania Deborę i Śluby panieńskie. Co się tyczy Debory, która niegdyś wielką cieszyła się sławą, dziś mocno wyszarzaną, to ledwie parę scen podało naszej artystce sposobność do rozwinięcia prawdziwej i silnej patetyczności. Większa część scen zbyt razi melodramatycznością, aby mogły one być polem popisu dla takiej artystki, jak panna Deryng. Za to w „Ślubach panieńskich" znalazł się talent panny Deryng w godnym siebie żywiole. Klara tym razem miała w postaci i grze swojej coś z sylfidy i tworzyła z panem Ładnowskim, jako Albinem, doskonałą parę. Głos tylko artystki, który dla ról tragicznych jest prawdziwym skarbem, tu był może za mało miarkowany i naginany do roli i w prędkiem recytowaniu wierszy zbyt dźwięcznym się wydawał. Pan Ładnowski był nieporównanym Albinem, i pomimo, iż rola ta graniczy z karykaturą, ani razu nie stracił równowagi i nie przekroczył tej granicy. I panu Kwiecińskiemu, jako Gustawowi, nie można odmówić miejsc bardzo szczęśliwych.

Lwowianie mają teraz sposobność sprawdzić całą rzetelność przysłowia warszawskiego: „panią Artot słyszeć warto". Dwie rzeczy głównie w śpiewie pani Artot wywołują podziw i uwielbienie: primo, potęga głosu, która się najmajestatyczniej objawia w niskich tonach, i rzutność jego, która przypomina race, wyrywające się ku niebu z szumem, a potem spadające cichemi gwiazdami *pianissimo*. Biorę patent na to porównanie, i zastrzegam się przeciw podrabianiu podobnych.

Faust dany na benefis panny Marco zgromadził prawie wszystkie najlepsze siły miejscowe naszej opery, a oprócz tego zapożyczył się u przyjezdnych. Małgorzatą naturalnie była panna Marco, Siebłem panna Gabbi, Walentynem p. Smith, po raz pierwszy debiutujący na scenie, baryton, a w p. Millerze mieliśmy dyabła, który tak głosem," jak mimiką i charakteryzacyą, wydobywał ze swej roli mnóstwo efektów dotąd nam nieznanych Co się tyczy p. Smitha, to głos jego przyjemny i śpiew pełen uczucia powszechnie się podobał, szkoda tylko, że w ostatniej scenie zanadto chciał być dobrym aktorem.

Wtorkowe przedstawienie Cyrulika Sewilskiego, uświetnione śpiewem pp. Millera i Padilli, męża pani Artot, w całości nie powiodło się tak, jakby przy takich siłach można się było spodziewać, a mianowicie rwało się i kulało dosyć wyraźnie. Nie mniej przeto słuchacze mogli się cieszyć Figarem w osobie p. Padilli i Don Basiliem w osobie p. Millera, który wybornie przedstawiał typ mnicha włoskiego.

J. T.

LISTY Z KRAJU.

Jeszcze w sprawie oświaty ludowej.

Nie masz nic łatwiejszego, jak popaść w przesadę tam, gdzie pole, otwarte dla wniosków i hypotez, swobodnego bujania w sferze utopii dozwala. Nie przeczę, że to jest rzeczą bardzo podmiotową uważać ten lub ów środek, tę lub ową drogę za jedynie prowadzącą do celu, jakim jest oświecenie ludu, bo mi się zdaje, że mniejsze lub większe oddalenie od miast

które bądź co bądź wpływają na rozwinięcie bystrzejszego pojęcia i przemyślności u ludu, dalej położenie nawet geograficzne i żywioły wewnętrzne nie małą jeżli nie pierwszorzędną w tym względzie odgrywają rolę, atoli są przecież prawdy, które zastosowane po wszystkie czasy i we wszystkich okolicach skutek niechybny przynoszą i usiłowania pomyślnym wieńczą skutkiem.

Taką prawdą nie wydaje mi się być wcale orzeczenie p. J. K. z Brzozowa podane w nr. 28 „Tygodnia“ z d. 10go marca: „Kształćmy młodzież ludu naszego w jak największych rozmiarach, kształćmy ją bez różnicy stanu, płci i religii, kształćmy ją ogólną ofiarnością w każdym zawodzie.“ Zapewne jedyny to sposób zyskania „bardzo zdolnych, światłych i prawych, krajowi pożytecznych obywateli,“ ale to nie sposób rozprowadzenia prądu oświaty we wszystkie części organizmu, który stanowi lud w całości. Nie potrzeba na to doświadczeń tysiąca; codzienny przykład pokazuje, że młodzież wyszła z ludu ukończywszy szkoły średnie, nie powraca do pługa na łan ojczysty, ale jeżeli w większej części parta konieczności, a wielokrotnie i wolą rodziców nie udaje się na teologię, obiera sobie inny jakikolwiek zawód. Nauką i wykształceniem wzniesiona po nad stan dawny, stanowiskiem wyparta z tego koła, w którem jej rodzina się obraca, nieledwie zapomina o swoich; stosunki, związki rodzinne i okoliczności nie dają jej czasu i sposobności myśleć o tem, by najbliższych sobie w jakikolwiekbądź sposób podnieść umysłowo. To też nic dziwnego, że górale wysyłając w znacznej liczbie synów do szkół, kształcą ich przeważnie na księży, bo widzą, że czy to w ich rodzinnem siole, czy gdzieindziej syn ich dla nich pracować będzie, a zresztą w świętej prostocie (która oby im jak najdłużej pozostała) uważają księdza za istotę najdoskonalszą między ludźmi. Udał się syn nie na teologią, zapytani ze łzą w oku odpowiedzą: „ej — styrał się!“ (zmarnował się) i nie chcą więcej o tem mówić, bo on w rzeczy samej dla nich bezpośrednio stracony. Jak górale, tak sądzi pod tym względem przeważnie lud wszystek, a wieśniak, wysyłając syna do szkół, prosi Pana Boga o to, by mu go dozwolił zobaczyć przed ołtarzem lub na ambonie. Ostatek grosza niesie w potrzebie, mimo słoty, wichrów i mrozów, o kilka a częstokroć kilkanaście mil dźwiga na barkach wiktuały dla syna, tą jedną nadzieją żyjąc i dla niej pracując w czoła pocie, że mu Bóg przecie tej jedynej nie odmówi pociechy. Smutne dlań następuje rozczarowanie, przykra dola, gdy się stanie inaczej. To też mając kilka podobnych przykładów, nawet mimo to, żeby był w stanie o własnym koszcie syna utrzymać, nie odda go do szkół, bo woli mieć z niego pomoc w domu w każdej robocie i w polu wyręczenie. Jeżeli więc jedynie na to kłaść będziemy wagę, aby „kształcić młodzież naszego ludu w jak największych rozmiarach“ i „w każdym zawodzie“ — czy w ten sposób „światełko rozleje się jakkolwiek powoli, ale szeroko, pomroka teraźniejsza ustępować będzie, zadnieje nareszcie i słoneczko jaśniejszej oświaty wychyli się na naszą wspólną pociechę,“ niech mi wolno będzie położyć wielki znak zapytania. Zapewne, że przez obcowanie w czasie feryi z ludem, a przedewszystkiem z rodziną, młodzież w części, ale w części maleńkiej jakiś wpływ pod względem obyczajów na nich wywrze, wpływ mimowolny, przypadkowy, nie zawsze dobry; ale tej oświaty, której lud potrzebuje, której nieledwie pragnie jak kania deszczu, i której wola wszystkiem złem popełnionem codziennie i każdym krokiem zbliżającym go do przepaści — tej oświaty mu nie przyniesie młodzież własna, kształcona w jak największych rozmiarach i w każdym zawodzie.

Nie idzie za tem, jakobyśmy młodzieży z ludu kształcić nie mieli i chętnym nie mieli podać pomocnej ręki, ale dla innego celu i w innym zakresie. Rzućmy okiem na dzisiejszy stan naszego społeczeństwa. Ogólne zubożenie jest przyczyną, że wszystka młodzież po ukończeniu nauk do zawodów publicznych się garnie. Największego procentu dostarczają klasy średnie zamieszkujące miasta, w których znajdują się odpowiednie szkoły, do tego łączy się w dość znacznej ilości młodzież z posiadłości mniejszych i młodzież z ludu, która (z jednej strony Bogu dzięki) coraz bardziej i liczniej szkolne zapełnia ławy. Wszystko udawszy się do zawodów publicznych, tworzy taką cisnącą się masę, takie przeładowanie, że już dziś widzieć możemy skutki tego na młodzieży, która po kilka lat z egzaminami czekać musi na jakąkolwiek nawet najniższą utrzymanie dać mogącą posadę. A co będzie, gdy tak lat kilka bez przerwy i odmiany potrwa? Czy ten prąd, który teraz przepełnia gimnazya nie jest tym samym, co przed laty kilku przepełniał szkoły realne i techniki? Pomnażając zastęp tej młodzieży walczącej o byt, wyprowadzając coraz więcej żywiołów do walki — nie wiem, czy dobrze uczynimy. Czyby nie lepiej było dla kraju, społeczeństwa, a przedewszystkiem dla oświaty, abyśmy młodzieży z ludu kształconej w jak największych rozmiarach do pewnego stopnia, a nie we wszelkich zawodach podali myśl, by z nabytemi wiadomościami powracała do pługa i lemiesza, i rozbudzili w niej to przekonanie, że w ten sposób najlepiej wywiąże się z obowiązków względem kraju zaciągniętych? Utopią to mi się nie wydaje, skoro w innych prowincyach, a przedewszystkiem niemieckich, mamy przykłady, że młodzież z świadectwem egzaminu dojrzałości w ręku wraca na rolę, przywdziewa strój ojcowski i korzystając z nabytych wiadomości, nie tylko że ich dla własnej umie użyć korzyści, ale ich udziela drugim, którzy ich w ten sam sposób nabyć nie byli w stanie.

Myśl dodatku jedno lub dwucentowego na cele zapomogi, czyli stypendya dla młodzieży swojego powiatu przy każdej Radzie powiatowej, wydaje mi się być dojrzałą i godną gorliwego poparcia, z jedną tylko modyfikacyą, aby stypendya podobne miały przedewszystkiem na celu *kształcenie młodzieży ludowej dla ludu.* Jeżeliby ukończenie całych szkół średnich i powrót do pługa był dziś jeszcze niemożliwym, wystarczy dla zrobienia sobie pojęcia o świecie i ludziach ukończona klasa czwarta gimnazyalna lub co jeszcze lepiej odpowiada celowi, ukończenie szkoły wydziałowej ośmioklasowej. Na kształcenie się w tym kierunku powinna Rada powiatowa rozdająca podobne stypendya przedewszystkiem zwrócić uwagę, nie zapominając bynajmniej o takich, którzy się wyższemi zdolnościami odznaczają, a którym do wyższych studyów dopomódz jest obowiązkiem. Tutaj znajduję usunięcie zarzutu, jakiby mię mógł spotkać, że byłoby to despotyzmem z uwagi na dobrodziejstwo, jakie się wyświadcza, narzucać młodzieży pęta krępujące jej wolę własną, wskazaniem z góry celu, do którego dążyć ma bez wolności przekroczenia go i posunięcia się dalej; bo łatwo odkryć już nawet w dziecku zdolności i chęci do nauki, a ztąd ocenić, czy wyższe studya mogą być dlań odpowiedne.

Że rozdawnictwo tych stypendyów powinno być sumienne i bezparcyalne, że o tem wsparciu powinnaby rozstrzygać zasługa i potrzeba, a nie względy i protekcya, jak się to dziać zwykło — zbytecznem mi się wydaje przypominać. Wobec tego zmniejsza się też i doniosłość projektu, bo gdy tacy stypendyści powiatowi później stypendyów krajowych nie otrzymawszy, własnym siłom i pracy pozostawieni, utrzymać się nie będą w stanie, co dzisiaj wobec takiej liczby młodzieży pracującej choćby za lichą byle jakąś zapłatę jest możliwem, to wtedy, nie udawszy się na żaden wydział uniwersytecki, utworzą znów pewnego rodzaju warstwę społeczną ludzi dosyć wykształconych, ale nie mogących odpowiedniego uzyskać stanowiska, a wstydzących się powrócić do roli. Popadłszy w nędzę w chwilach zwątpienia i rozpaczy przeklną naukę, która im otworzyła świat inny, a miejsca tam dla nich nie wynalazła. Czem wówczas będzie dla nich dobrodziejstwo stypendyów powiatowych — łatwo odgadnąć.

Czuję to dobrze, że myśl powrotu po ukończeniu szkół na łan ojczysty nie może znaleść należytego zastosowania dzisiaj wobec wolności dzielenia gruntów; bo po cóż syn powróci, jeźli z zagrody, którą posiadał jego ojciec, część tylko jakaś mała dostanie się mu w podziele, a przecież śmiem twierdzić stanowczo, że to może jedna z najpewniejszych, choć nie najprostszych ścieżek. Wieśniak oświecony nawet z maleńkiego kawałka ziemi potrafi wyciągnąć dla siebie korzyści zapewniające mu nietylko utrzymanie ale i zysk, jak tego mamy przykłady na Szląsku, Morawach i w Czechach, gdzie pomyślność jest głównym dobrobytu powodem, a wpływem swoim, ciągłem życiem między mniej oświeconymi, radą i przykładem zdoła innym rozjaśnić umysł i uszlachetnić serce. Jeżeli przeto młodzież z ludu ma przystęp do niego, to młodzież ta sama z pewnem wykształceniem powróciwszy nazad w jego skład, tem większe będzie u niego zaufanie i ona jedynie wraz ze środkami pomocniczymi, jakimi są książki, otworzyć zdoła „szczelinę, przez którą światło między lud wciskać się może i będzie. *Roman Zawiliński.*

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Brzozowski Karol.* Sen w Bałkanach. 8ka, str. 23. Lwów 1878. 20 ct.

— *Canonico Tankred.* Nowy papież tłómaczenie z włoskiego. 8ka, str. 16. Lwów 1878. 30 ct.

— *Cherbuliez Wiktor.* Niebezpieczna gra przekład z francuskiego. 8ka, str. 269. Lwów 1878. 1 złr. 40 ct.

— Najnowszy katalog Księgarni Polskiej oraz spis książek po cenach zniżonych. 8ka, str. 159. Lwów 1878. 30 ct.

— *Niewiarowski A. L.* Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu. 8ka, str. 194. Lwów 1878. 2.20

— *O charakterze żołnierza* polskiego. 8ka, str. 14. Lwów 1878. 20 ct.

— *Odyniec Ant. Edw.* Listy z podróży. Tom IV. (z Neapolu do Genewy). 8ka. str. 419. Warszawa 1878. 2.50

Pius IX. Dokumenta odnoszące się do sprawy prześladowania kościoła katolickiego w Polsce. 8ka, str. 50. Lwów 1878. 30 ct.

— *Sulita St. January,* Matusz Trębacz i czarna Jagna, powieść ludowa wielkopolska. 8ka, str. 98. Lwów 1878. 50 ct.

— *Verne Juliusz,* Hektor Servadac, z podróży po światach słonecznych, dzieło uwieńczone przez akademię francuską. 2 tomy. 8ka, str. 272, 264. Lwów 1878. 3 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Obecna chwila,* przez byłego posła na Sejm krajowy. Kraków 1878 r. Broszura polityczna, w której autor dowodzi, że przez rozbiór Polski równowaga europejska zwichniętą została i przymierze między Prusami a Moskwą ugruntowane, i że tylko przez odbudowanie Polski równowaga europejska przywróconą, a kwestya wschodnia zażegnaną być może. Nie myślimy się spierać z autorem, chociaż konkluzya, jaka się z tego wysnuwa, że Europa potrzebując Polski odbuduje ją, jest bardzo problematyczną, a wpajanie tego przekonania w naród szkodliwe, bo odrywa od pracy i przyucza do oczekiwania z założonemi rękami na pieczone gołąbki.

Autorowi chcemy odpowiedzieć na jedno twierdzenie: „Powstanie polskie 1863 r. nie było jak rewolucya 1830 r. wojną wydaną Rosyi z możliwością zwycięzenia i oswobodzenia się, lecz rozpaczliwym krokiem garstki ludzi nie mających nic do stracenia.“ Takie komunały zbyt często puszczane są z Krakowa, ażeby nie wywierały szkodliwego wpływu.

Co autor rozumie pod wyrazem rewolucya? Powstanie 1830 r. o tyle było rewolucyą, że chciało zmienić istniejący stan rzeczy na nowy pod względem politycznym tylko, było więc tylko zamierzoną rewolucyą polityczną. Nie osiągnąwszy celu, nie może być uważane za rewolucyę rzeczywistą. Przeciwnie zaś powstanie 1863 r. było rewolucyą wszechstronną i chociaż równie nie osiągnęło celu pod względem politycznym, ale założyło sobie jeszcze przeprowadzenie równouprawnienia wyznań, czego także nie osiągnęło i założyło sobie rewolucyę społeczną, którą przeprowadziło uwłaszczając lud, a tem samem równouprawniając go faktycznie z uprzywilejowanemi klasami społeczeństwa. Ogłoszone w manifeście z dnia 22go stycznia 1863 uwłaszczenie ludu nie mogło być cofnięte przez rząd najezdniczy, który 2go marca 1864 zmuszonym był zasadę tę w czyn wprowadzić. W jaki sposób on ją przeprowadził, o to mniejsza, ale sam fakt jest takiej doniosłości dla przyszłości naszej, że powstanie 1863 r. stanie się w skutkach swoich więcej znaczącem, większe wyda owoce aniżeli wszystkie poprzednie usiłowania razem wzięte. Nie myślimy z tego rewindykować zasług dla bohaterów styczniowego powstania, którzy tylko w czyn wprowadzili

i krwią przypieczętowali to co poprzednie pokolenia przygotowały i jako dojrzały owoc im podały.

Dla czego autor twierdzi, że powstanie 1830 r. miało możliwość zwycięzenia, a powstanie 1863 r. nie miało tej możliwości, nie wiemy. Jedno i drugie powstanie nie było na tyle przygotowane i naród nie doszedł tej dojrzałości, aby musiał wroga pokonać, to widzimy z rezultatu, bo jedno i drugie powstanie upadło. Ale jeżeli Grecya, jeżeli Serbia mogły odzyskać byt niezależny, to przy sprzyjających okolicznościach, przy umiejętniejszem prowadzeniu lub przy mniejszem oglądaniu się na zagranicę tem bardziej mogło osiągnąć to dla Polski tak powstanie 1830 r. jak powstanie 1863 r. Które powstanie miało więcej szans powodzenia, to dopiero historya wykaże, co do nas, to sądzimy, że styczniowe, gdyż było połączone z rewolucyą społeczną i mogło pociągnąć masy pod broń, byleby tylko kierownicy umieli byli tego dokonać.

Dla czego autor w sposób niegodny przyzwoitego traktowania spraw publicznych nazywa bohaterów styczniowego powstania garstką ludzi niemających nic do stracenia? Czyż bohaterowie listopadowi, albo Kościuszkowscy mieli więcej do stracenia i czy w ogóle człowiek ma więcej co do stracenia nad mienie i życie, które również wszyscy nieśli w ofierze ojczyźnie? Może być, że był to krok rozpaczliwy, ale każdy nasz krok ku odzyskaniu niepodległości od r. 1764 był i aż do odzyskania jej będzie rozpaczliwym, bo to leży w naturze rzeczy. Każde narażenie życia jest krokiem rozpaczliwym, a więc i każdy walczący za ojczyznę musi tego rozpaczliwego kroku chwytać się, a naród dopóki celu nie osiągnie, nie może ustać w swoich usiłowaniach. Po cóż te artykuły, jątrzące nie zabliźnione rany po co te gadaniny żółciowe, przecie one powstrzymać narodu w jego pochodzie nie mogą.

*** Jakie są obowiązki obywatela? Bardzo ważną publikacyę rozpoczęła redakcya „Przeglądu tygodniowego.“ Jest to szereg dzieł dla ludu wiejskiego i miejskiego, mających za zadanie rozprzestrzenianie prawdziwej oświaty pomiędzy niższemi klasami naszego społeczeństwa, które tak często karmią się strawą nieodpowiednią, a często nawet wprost szkodliwą.

Dotąd wyszły dwa dziełka: „Pierwsze wiadomości o świecie“ i „Jakie są obowiązki obywatela?“ Autorem obu jest p. Hipolit Bogumił Tarczyński.

*** „Stukanie duchów“ wobec fizyologii.

Profesor Schiff, który niedawno objął katedrę fizyologii w Genewie, wypowiedział w tych dniach w publicznym odczycie swoje poglądy co do „kurczliwości mięśni w związku z systematem nerwowym i kostnym“.

W prelekcyach tych potrącił profesor o kwestyą „stukania duchów“.

W organizmie człowieka nie ma tak twardych ciał, któreby przy normalnym stanie mogły stukać jedne o drugie.

Co najwięcej udaje się nam słyszeć przy pewnych ruchach organów chrzęst, np. gdy rozprostowujemy i rozciągamy palce.

Przyczyną tego jest to, iż łączące się kości pokryte są chrząstką łagodzącą uderzenia jednej o drugą.

Jednakże jest pewna część ciała, gdzie niektóre kości posiadają bardzo mało chrząstek — jest to... pięta, gdzie oprócz tego prawie nie ma mięśni, ani tłuszczu pokrywającycb kości warstwą przeszkadzającą słyszeć uderzenia jednej o drugą.

W pięcie więc jest siedzenie duchów, wyzywanych przez „medyum“, gdy się robi niewidzialne stukanie.

Profesor Schiff robił doświadczenia nad medyum założonem w pierzynie i pomimo to stukającem — chociaż nie wykonywano żadnych ruchów, ani też nie opierano się o twardy przedmiot.

Zauważył przytem, iż stukanie wychodziło z nogi; Schiff wystudyował najszczegółowiej anatomię kości, ścięgn, mięśni i nerwów pięty i zaczął robić nad sobą samym też same doświadczenia, jakie zadziwiają publiczność.

Rezultat przeszedł oczekiwania!

Na swych odczytach w Genewie próbował on tych doświadczeń wobec 700 słuchaczy i stuk słyszano wszędzie pomimo obszerności sali.

*** Musimy zaprzeczyć wiadomości podanej przez nasze pisma, jakoby *Przewalski*, znakomity podróżnik moskiewski, był Polakiem. Nigdy nim nie był i jest rodowitym Moskalem nie umiejącym ani słowa po polsku. Zamiast anektować obce znakomitości, umiejmy ocenić swoje a osiągniemy większą korzyść.

*** Treść IX. zeszytu *Strzechy*. Aurelia. Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego, przez Wojciecha Dzieduszyckiego. Turecki kozak; nowella. Hero i Leander. Z Fryderyka Szyllera przełożył Władysław Ordon. Z ryciną. Chleb ludzi bodzie, komedya w 1. akcie przez Józefa Bliźińskiego. Listy o idei narodowej. Pogadanka Włodzimierza Zagórskiego. Pokłosie. Kącik humorystycznej Strzechy. Korespondencya od Redakcyi.

Szkoły.

*** Czytamy w *Nowinach* war.: „Oświata szkolna w naszym kraju rozwija się pod względem ilościowym coraz to pomyślniej, o czem świadczą wymownie statystyczne dane. Warszawski korespondent gazety „Russkij Mir“ na podstawie wiarogodnych danych, jak to zapewnia, podaje dość pocieszający obraz statystyczny w tej mierze i zapewnia, że tak, szczęśliwem pod względem oświaty szkolnej położeniem, nie może się u nas pochwalić żadna z wewnętrznych gubernii cesarstwa rossyjskiego, zostająca w najlepszych warunkach, w sprawie szkolnej oświaty. Nie mówiąc o dwóch wyższych zakładach naukowych, mamy w 10 guberniach Królestwa Polskiego średnich zakładów liczbę następującą: męzkich gimnazyów klasycznych 18 z 18-ma klasami przygotowawczemi i 46 oddziałami równoległemi, męzkich progimnazyów klasycznych 22 z 8 klasami przygotowawczemi i 2 oddziałami równoległemi, szkół realnych 3, seminaryów nauczycielskich 8, szkoła 3 klasowa wiejska 1, żeńskich gimnazyów i progimnazyów 18, dwuklasowych szkół ludowych 59, jednoklasowych 2515, żydowskich szkół początkowych 3-go rzędu 43, szkół wyznaniowych 457, szkół specyalnych 8, szkół rzemieślniczych niedzielnych 106, szkół prywatnych: męzkich 41, żeńskich 136, mięszanych 10, żydowskich elementarnych 22, szkoła prywatna handlowa pierwszego stopnia 1, szkoły elementarne 2, przygotowawcza wojskowa 1, czyli razem wszystkich prywatnych zakładów naukowych 213. Ogólna summa wszystkich zakładów naukowych w Królestwie wynosi cyfrę 9468, czyli że podług korespondenta jedna wypada na 1440 ludności. Cyfry te jeżeli istotnie są ścisłe, czego sprawdzić w tej chwili nie możemy, świadczą w każdym razie o rozwijającym się coraz bardziej w naszym kraju popędzie do oświaty, który przenikać powoli zaczyna i w inne warstwy społeczne. W obec tego pragnąć należy, aby system szkolny rozwinął się w postępowym pochodzie coraz bardziej, zanim nie zadowolni wszystkich potrzeb naszej oświaty, gdyż dzisiaj wiemy o tem dobrze, że w zakresie średniego wychowania widocznym jest niedostatek zakładów naukowych, wyrażający się w corocznym nadmiarze kandydatów, z których znaczna część nie zostaje dopuszczoną dla braku miejsc w murach szkolnych i szukać musi innych środków wykształcenia, albo też opóźniać postęp swego umysłowego rozwoju.“

Wiadomości ekonomiczne.

*** W tej chwili istnieje w obrębie Królestwa Polskiego 7 dróg żelaznych, których długość wynosi razem 1383 wiorst, co przy powierzchni Królestwa, wynoszącej 111,785 wiorst □ i 6,360,400 ludności, daje 1 wiorstę dróg żelaznych na 81 wiorst □ powierzchni i na 4,620 mieszkańców. (wiorsta odpowiada prawie kilometrowi.)

Nekrologia.

† *Władysław hr. Tarnowski*, znany w literaturze pod pseudonimem Ernesta Buławy, w podróży swojej na około świata zmarł w San-Francisko. Wielka to strata dla kraju, w zmarłym bowiem widzieliśmy gorliwego obywatela, ktory służył krajowi szczerze i gorliwie. Jako poeta szedł za prądem wieku i umiał odczuć dzisiejsze potrzeby kraju, kochał lud prawdziwie. Jako kompozytor był bardzo ceniony, Liszt stawiał go bardzo wysoko i porównywał z Rubinszteinem i Bühlowem. Oczekiwaliśmy cennych notatek z podróży, którą odbywał nie dla przyjemności samej, lecz zbierając materyały aby wzbogacić literaturę ojczystą. Był to talent niepospolity, młody, rokujący wielkie nadzieje. Bliższych szczegółów tak wczesnego zgonu jeszcze nie posiadamy.

† *Juliusz hr. Strutyński*, znany w literaturze pod pseudonimem Berlicza Sasa, umarł w późnym wieku na Litwie. Po ostatniem powstaniu, gdy nie chciał przyjąć prawosławia, pomimo osobistej znajomości z carem zasekwestrowano mu wszystkie dobra i staruszek prawie o żebranym chlebie dostał się do Lwowa i tu, a potem w Krakowie spędził na tułaczce kilkanaście lat ciężkiego żywota. Z potrzeby wziął się do pióra, aby na chleb zapracować i napisał kilkanaście powieści i szkiców niepospolitej wartości, w których odzwierciadlał społeczeństwo i wybitniejsze typy z czasów swojej młodości. Między innemi okazały się w wydaniu książkowem *Kasztelanowa trocka*, *Giul-Szada*. Obrazy z natury, *Starościna horodelska*, *Moskwa*, *Gawędy* i w. in. drukowanych w „Dzienniku literackim“ i po innych czasopismach.

OSTATNI ROMANS.

Nowella.

Jest li małżeństwo instytucyą rozsądną, czy też pozbawioną wszelkiej racyonalnej podstawy? Nie umiałbym na to pytanie stanowczo odpowiedzieć. Jeden z moich przyjaciół utrzymuje, że największem szaleństwem jest żenić się, skoro można bardzo wygodnie poprzestać na cudzem małżeństwie. Inny znów zapewniał mnie, że nie zna większego szczęścia na świecie, jak mieć zawsze pieczeń w sam raz dopieczoną i bieliznę, przy której nie braknie nigdy ani jednego guziczka, i że jeżeli żałuje czego w życiu, to tego chyba, że nie ożenił się zaraz po ukończeniu gimnazyum. Dwa, tak wprost przeciwne sobie zdania, wprowadziły mnie w wielki kłopot; na przekór jednak zarówno stronnikom jak i przeciwnikom tego szanownego stanu, mogę z całą twierdzić pewnością, iż gdyby małżeństwo nie istniało, pani N. nie byłaby wyszła za mąż, nie zostałaby matką dwóch pięknych panien na wydaniu i nie jeździłaby z niemi do Paryża; a tem samem nie spotkałaby ją zajmująca przygoda, którą mam zamiar właśnie opowiedzieć państwu......

* * *

Niezbyt dawno temu, wchodząc do salonu naszej gościnnej przyjaciółki, zastałem w nim towarzystwo złożone z pół tuzina wielce poważnych jegomościów, z których najmłodszy liczył co najmniej pięćdziesiąt lat wieku. W liczbie ich znajdował się stary jenerał, którego wstręt do literatury nie oparł się nawet *Historyi wojny siedmioletniej;* rówiennik jego, bankier, obarczony milionami i synowcami, ułatwiającymi mu, zwyczajem wszystkich synowców, puszczanie w świat uzbieranego grosza, był dyplomata, odznaczający się białą kamizelką, zdobiącą piersi jego od chwili, gdy rozpoczął swoją karyerę; był mąż polityczny, który dostawszy się do władzy, usiłował pójść w odmienną innych polityków drogą, to jest, dotrzymać tego, co obiecywał, dopóki pozostawał w opozycyi, niebawem przecież zmuszonym się widział wyrzec się tej utopii; był wreszcie stary kawaler, sybaryta, epikurejczyk jeden cel mający w tem życiu, dogodzenie własnym swym zachciankom.

Szanowne zgromadzenie pogrążone było w głębokiem kontemplacyjnem milczeniu; jenerał przeglądał ilustracye przedstawiające epizody z wojny moskiewsko-tureckiej, dyplomata czytał *Debaty*, polityk utkwił wzrok w suficie, bankier z wieczornym dziennikiem w ręku dumał nad kursem giełdy, a stary kawaler palił cygaro, najpewniej o niczem nie myśląc.

Pani N. z ujmującym wdziękiem podała mi filiżankę herbaty, zadając mi zwykłe pytanie: co słychać na mieście? W miejsce odpowiedzi, zwróciłem uwagę pięknej gospodyni na prześliczne kształty jej rączki, na której pozwoliła mi złożyć pocałunek pełen uszanowania; następnie zaś oświadczyłem z głębokiem oburzeniem, że nie znam nic nieznośniejszego nad starych nudziarzy, nie umiejących wcześnie chodzić spać, i że gdybym ja poczuwał się do podobnego egoizmu, abym ośmielił się milczeć w jej obecności, nigdybym nie przestąpił progów jej salonu.

Pani Mercedes odpowiedziała mi na to, że każdy gość ma prawo robić w jej domu, co mu się podoba; że jestem trzpiotem, nie pojmującym, że dla ludzi w dojrzalszym wieku, milczenie ma pewien szacowny, nieokreślony urok i że obowiązkiem gospodyni domu jest czuwać, aby nikt tego milczenia nie przerywał.

Rozumie się, że nie mogłem poprzestać na takiem wyjaśnieniu, i z całym zapałem odparłem, iż tylko egoiści mogą w towarzystwie myśleć o własnej przyjemności, że owszem obowiązkiem jest każdego z gości przyczynić się do ogólnej zabawy.

Mówiłem długo, a słowa moje popierałem takimi

dowodami, że w końcu udało mi się przekonać moją preopinentkę. Podniosła się z fotelu i wyciągając ku drzemiącym swym wielbicielom bieluchną rączkę, ową rączkę, której nie mogłem dosyć napodziwiać, zapowiedziała im porządek dzienny, według którego każdy z obecnych obowiązany był opowiedzieć ostatnią swoją intrygę miłośną.

Bomba, wpadająca do obozu uśpionego nieprzyjaciela, nie wywołuje zapewne podobnej trwogi, jaką słowa Mercedes wzbudziły w poważnem gronie odwiecznych znakomitości. Zdumieni, przerażeni, skamieniali nieledwie, jednogłośnie zaczęli błagać o cofnięcie tak barbarzyńskiego rozkazu. Napróżno jednak; pani N. okazała się nieczułą na ich błaganie i ponowiła rozkaz, łagodząc go tylko uśmiechem pełnym słodyczy i prośby.

Dłużej niepodobna się było opierać; przed kapitulacyą wszakże, staruszkowie złożyli radę wojenną i w nadziei, że im się powiedzie wycofać się z honorem z drażliwego położenia, oświadczyli gotowość spełnienia rozkazu, pod warunkiem, że i pani Mercedes nie zechce się wyłamać z pod ogólnego prawa i że kolej mówiących oznaczona będzie losem.

— Zgoda — rzekła śmiało pani N. — przyjmuję ten warunek.

Uleciała ostatnia nadzieja nieszczęśliwych; zajęli napowrót swe miejsca, głęboko wzdychając, a milioner, na którego padł pierwszy los, zaczął po chwili opowiadanie.

* * *

„Lat temu kilkanaście — mówił — gdy rozpoczynałem dopiero pięćdziesiąty pierwszy rok życia, zająłem się niezmiernie przyjaciółką jednej z moich siostrzenic, młodziutką panienką, cudownie piękną, i co jest rzeczą nadzwyczaj rzadką w dzisiejszych czasach, zarówno skromną i cnotliwą. Nieznacznie rozkochałem się w niej do szaleństwa, aż nakoniec, nie mogąc dłużej utaić mojej miłości, zapytałem ją nieśmiało, czyby zechciała wstąpić do naszej rodziny i dzielić wraz z nami dobre i złe losy.

„Na propozycyą tę sprytna panienka odpowiedziała mi, że doskonale myśl moją odgaduje; że jestem najlepszym z wujaszków całego świata, że rzeczywiście najstarszy mój siostrzeniec posiadał jej serce i że jeżeli tylko rodzice jej zezwolą, z największą ochotą nazwie mnie i ona najukochańszym swym wujaszkiem.... Cóż miałem począć? młodzi się pobrali, i przez wdzięczność za moją uprzedzającą dobroć, obdarzyli mnie w ciągu dwóch lat trojgiem wnucząt......"

Skoro ustał śmiech ogólny, wywołany niefortunnemi konkurami wujaszka całego świata, dyplomata opowiedział nam, nie pamiętam już jaką, strasznie tragiczną, międzynarodową historyą.... Była tam mowa o jakiejś Angielce, rozumie się bladej i melancholicznej, przebywającej stale w Monaco przy rulecie, w domu podminowanym, o skórze tygrysa, o słoniowych zębach, o mężu brunatnej cery itd. itd. wszystko zaś kończyło się pojedynkiem na pistolety, i śmiercią wszystkich działających osób, z wyjątkiem samego tylko opowiadającego.

„W roku pańskim 1848 — rzekł polityk, gdy przyszła kolej na niego — zesłany zostałem na wyspy Filipińskie, a to wskutek rozkazu rządu, który, pomijając już nie zbyt delikatny sposób postępowania okazał się rządem rzeczywistym, a co ważniejsze jeszcze, jednym z tych nader rzadkich rządów, które miały się zdobyć na własny swój plan w celu położenia tamy ciągłym klęskom trapiącym nieszczęśliwą naszą ojczyznę. Plan owego praktycznego rządu zasadzał się na tem bezwzględnem przeświadczeniu, że chcąc uczynić Hiszpanię krainą szczęśliwości, wolną od wszelkich rewolucyi, pronuncyamentów, zamachów stanu, jednem słowem, chcąc wyrwać ją z anarchii, jeden tylko jest środek niezawodny, wyborny i skuteczny, to jest wydalenie z kraju wszystkich Hiszpanów.

„Prawie jednocześnie ze mną przybył na wyspy Filipińskie pewien gentleman angielsko-amerykański, w zamiarze studyowania na miejscu wielkiej zasady deportacyi i śledzenia wpływów jej na rozwój dobrobytu narodowego. Gentleman ów miał córkę, która w moich przynajmniej oczach, była uosobionym typem wolności w najpiękniejszym i najwspanialszym jej rozwoju. Liczyła lat dwadzieścia siedm, i czy to pieszo czy konno, za miasto czy na wieś, wychodziła i jeździła zawsze sama, bez żadnego towarzystwa. Włosy miała płomieniste, cera księżycowej białości, była protestantką, ubierała się elegancko i z fantazyą, nie ukrywając nigdy ani nóżek, ani przepysznego gorsu, ani też myśli swoich. Sama rozporządzała olbrzymim swoim majątkiem, odziedziczonym po matce, bez najmniejszej kontroli i wtrącania się ojca. Miała oprócz tego alabastrowe ramiona i intendenta będącego zarazem jej sekretarzem.

„Ujrzeć podobną kobietę i nie zakochać się w niej, byłoby nad siły ludzkie. Zdaniem mojem, wielka idea Waszyngtona wcieloną została w dziewiczej tej postaci, wolnej i niepodległej, obcej wszelkim intrygom i hipokryzyi, właściwym płci niewieściej, dla obrony przeciw którym wymyśleć trzeba było w Hiszpanii duegny i spowiedników, zazdrość i kraty w oknach.

„Takiemi przejęty myślami, skierowałem się pewnego dnia do jej mieszkania, stanowczo zdecydowany oświadczyć jej moją miłość i gotowość poświęcenia całego życia dla jej niepodległości i alabastrowych ramion. Drzwi, jak prawdziwe wrota wolności, zastałem na rozcież otwarte. Niespostrzeżony i nie widząc nikogo, wszedłem aż do wnętrza dziewiczych apartamentów. Znalazłem się nareszcie w małym saloniku, tak ciemnym w skutek opuszczonych żaluzyi, że przez kilka minut musiałem zatrzymać się na progu, nie mogąc nic rozeznać przed sobą.

„Gdy już wzrok mój oswoił się z rozkosznemi cieniami, ujrzałem w głębi saloniku wielki szezlong, a na nim moją muzę wolności, leżącą w niedbałem opuszczeniu; jedno z alabastrowych jej ramion, dla których gotów byłem życie ponieść w ofierze, spoczywało na głowie mężczyzny, ugarnirowanej lasem hebanowych włosów, któremi drobna jej rączka bawiła się od niechcenia. Mężczyzną tym był intendent-sekretarz, klęczący obok wolnej i niepodległej Amerykanki, jak pierwszy lepszy wierny poddany jego królewskiej mości Alfonsa XII. Na ten widok usunąłem się pospiesznie, z większą jeszcze niż poprzednio ostrożnością, i tak się skończył zapał mój dla nieograniczonej wolności amerykańskiej, a zarazem i ostatnia moja miłość."

Z kolei padł los na panią Mercedes; nastała cisza tak głęboka, iż zdawało się, że wszyscy obecni oddech w piersi powstrzymali. Pani N. potarła rączką swe czoło jakby chciała zbudzić wspomnienia, rzuciła przelotnem spojrzeniem na otaczające ją audytorium i rozpoczęła temi słowy:

* * *

„Wiadomo panom, że przed czterema laty wydałam za mąż obie moje córki, za dwóch braci rodzonych, zacnych młodzieńców, których znacie również i poważacie wszyscy, gdyż na to rzeczywiście zasługują.

„Cztery więc lat temu odbyłam ostatnią podróż do Paryża w towarzystwie moich córek. Podróż ta okazała się konieczną do skompletowania ich wyprawy. Szczerze mówiąc, moglibyśmy i tu na miejscu, nie opuszczając Madrytu, znaleść równie eleganckie i nie mniej kosztowne gałganki. Ale za nic w świecie nie byłabym zezwoliła na to, aby moje córki nie miały zaopatrzyć się nad brzegami Sekwany w to wszystko, co jest niezbędnem do stroju przy tej największej, jedynej w życiu kobiety uroczystości. Coby świat madrycki powiedział, coby myślano o nas, gdybyśmy miały wyłamać z pod praw obowiązujących wyższe sfery towarzyskie? Pozostawiając więc staraniom niecierpliwych panów narzeczonych urządzenie i ozdobienie przyszłych gwiazdeczek małżeńskich, puściłyśmy się same w podróż koleją Północną, z tą hiszpańską prawdziwie wesołością, jaka zwykła ożywiać nas wszystkich, gdy dobrowolnie wydalamy się za granicę. Nowość tyle ma w sobie powabów! Sama myśl, że na pewien przeciąg czasu wszystko zmieni się w około nas, zaczawszy od języka a skończywszy na kuchni codziennej; że jutro powiedzą nam „dzień dobry" w obcej mowie, którą my jednak rozumieć będziemy; że przez kilkanaście dni żyć będziemy życiem odmiennem, wśród niezwykłych stosunków; ta myśl stanowi już pewien rodzaj zadowolenia. Łatwo więc pojmujecie panowie, jak uszczęśliwione były moje córki podróżą, której jedynym celem było wydanie znacznej kwoty pieniędzy, według własnego ich upodobania.

„Co do mnie, bo i dla czegóż nie miałabym wyznać prawdy, byłam smutną, znękaną prawie, dla dwóch ważnych przyczyn. Pierwszą z nich było przekonanie, że podróż ta jest niejako prologiem mojej samotności, zakończeniem świętych i najdraźliwszych moich praw i rozkoszy macierzyńskich. Powtarzałam sobie w myśli, że za powrotem z tej nieznośnej podróży imię matki ustąpi wstrętnej nazwie świekry, że pomiędzy mną a memi ukochanemi dziećmi, które z taką troskliwością wypielęgnowałam i wychowałam, staną dwaj mężczyzni, obaj szlachetni wprawdzie i bez najmniejszego zarzutu, ale koniec końców ludzie, o których przed pół rokiem, ani ja ani moje córki nie wiedziałyśmy nawet, że żyją na świecie.

— Ah! — mówiłam do siebie — córka, któraby zgodziła się pozostać przez całe życie tylko dziewczynką, nosić krótką sukienkę i fartuszek pensyonarski, byłaby wzorem, ideałem dziecka! Ale nie ma się co łudzić! w dniu, w którym dzienną porzuca lalkę, aby wyjrzeć oknem właśnie w chwili gdy przez ulicę przechodzi nieznajomy młodzieniec o ładnym wąsiku, w dniu tym kończy się rola matki.

„Drugi powód mego melanchilijnego usposobienia tkwił w pojęciach moich jako Hiszpanki, albo jeśli chcecie, w prostem dziwactwie. Należę bowiem do rzędu tych, którzy mniemają, iż raz tylko w życiu wolno nam bez rzeczywistej potrzeby przekraczać granice ojczyzny naszej, że jeden raz tylko można usprawiedliwić niejako tę kosztowną i częstokroć zgubną ciekawość, dla zaspokojenia której włóczymy się bez celu po świecie, przebywamy miasta i miasteczka, gdzie wszystko jest nam obojętnem i obcem. Według mego zdania, podróżomania jest najwyższym stopniem obłędu ludzkiego. Dziś zwłaszcza w pełni jednostajnego rozwoju cywilizacyi, dziś, gdy wiemy o tem dobrze, iż Europa cała jest ni mniej ni więcej jak tylko takim samym Madrytem, w poprawnem i zwiększonem wydaniu, — nie jestże podróżowanie bezowocnem i najdroższem marnowaniem czasu?

Pojmiecie teraz łatwo, pod jak smutnem wrażeniem odbywałam tę ostatnią zapewne w życiu mojem podróż. Muszę sobie jednak oddać sprawiedliwość, że umiałam tyle zapanować nad sobą, iż ani razu nie zdradziłam mojego przykrego usposobienia w obec dwojga ukochanych istot, które obowiązkiem moim było przeprowadzić od kołyski do ślubnego kobierca, z serdecznym zawsze, macierzyńskim uśmiechem na ustach. (Dok. nast.)

Od Redakcyi.

W. Pan W. Z w Medyolanie. Prezesem Towarzystwa Naukowej pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego jest Dr. Józef Fiszer (w Cieszynie), a sekretarzem tegoż towarzystwa jest P. Paweł Stalmach.

J. W. Pani O. hr. K. Artykułu p. t. *Co będzie potem?* drukować nie możemy, z przyczyn od redakcyi nie zależnych.

W. Pan Z. K. we Lwowie. Dziękujemy za uprzejmość. Najwygodniej byłoby dla nas, gdyby Pan zechciał przysłać nam cały zbiorek na jeden, dwa dni, po odpisaniu w całości zwrócimy. Z nadesłanego Spisu posiadamy Nr. 1. 2. 3. 4. 5. 11. Co do innych nie jesteśmy pewni.

Uwaga. Ponieważ z tym numerem rozpoczyna się nowy tom, przeto ogłaszamy osobny abonament na maj i czerwiec, tj. do końca kwartału dla Lwowa 2·25. z przesyłką 3 złr.

Treść Nr. 37.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.